NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie
Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.
Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50 %, zagraniczne o 100 % drożej.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 96 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 29 kwietnia 1922. Nr. 17.

Krwawa zemsta zdradzonej

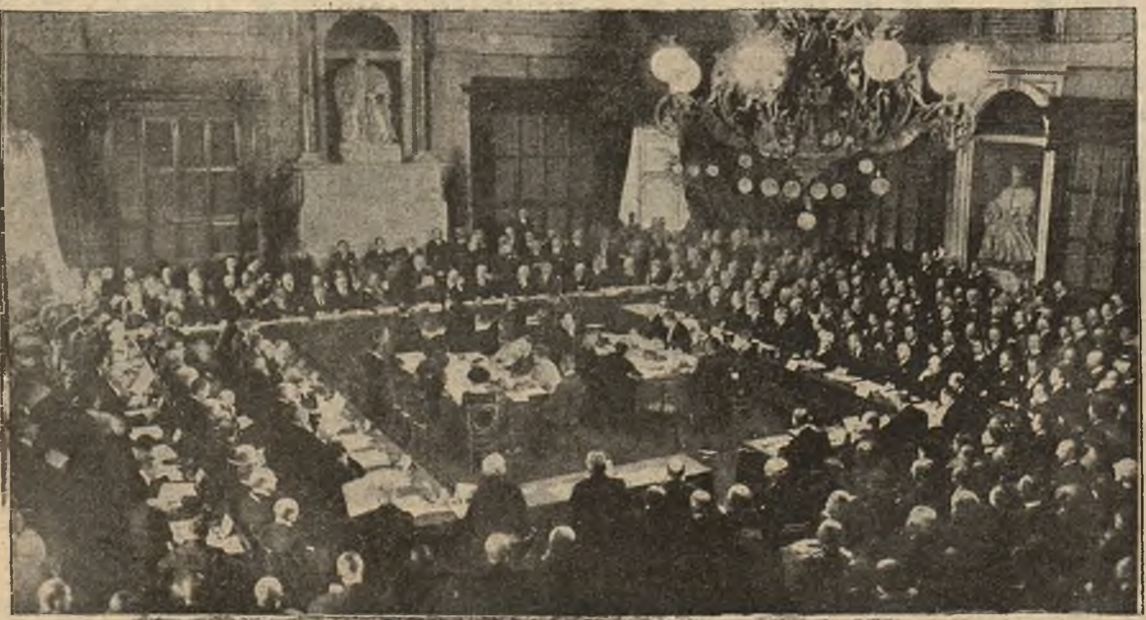


Włoszka Radicia Consuella, w przebraniu muzułmanki, zabija na ulicy Tunisu wystrzałem z rewolweru swego uwodziciela.

Krwawa zemsta zdradzonej.

(Do illustracyi tytułowej).

Historya jak świat stara, budząca jednak bodaj chwilowe zainteresowanie, a powtarzająca się na całym świecie, tak na mroźnej północy, jak i pod skwarnem niebem afrykańskiem. Zawiedziona kobieta wymierza sobie sama sprawiedliwość i karze mężczyznę, który, stanąwszy na drodze jej życia, wniósł w nie pod pozorem miłości nieszczęście, a potem opuścił swą ofiarę, zostawiając ją na pastwę losu. Nie każda jednak z uwiedzionych kobiet potrafi się zdobyć na czyn tak stanowczy, większość nieszczęśliwych godzi się z losem i gdzieś w cichości opłakuje swą nieszczęsną dolę. Gdyby było więcej kobiet, mających tyle energii, aby się upomnieć o swe prawa i stanąć w obronie swej czci, z pewnością lekkomyślni uwodziciele byliby ostrożniejsi, wiedząc, co ich czeka. Głos opinii publicznej bierze zazwyczaj w obronę słabą ofiarę, sprawiedliwość, stojąc na straży obowiązujących praw i przepisów, domaga się kary.



Nowoczesna wieża Babel: Inauguracyjne zebranie członków konferencyi genueńskiej podczas przemówienia włoskiego premiera Facty, w wielkiej sali pałacu królewskiego San Georgio.

Wypadek wymierzenia sprawiedliwości, a zarazem i zemsty przez zdradzoną kobietę na mężczyźnie uwodzicielu wydarzył się niedawno w Tunisie, a obie główne postacie tej tragedyi to Włosi. Sam fakt, zwykły zresztą w życiu codziennem, wykonanie jego natomiast było niezwykłem, stwierdzając cały bezmiar rozpaczy, w jaką nieszczęsną ofiarę losu pogrążyła niewierność ukochanego.

Na jednej z najruchliwszych ulic Tunisu do przechodzącego właśnie mężczyzny Europejczyka podeszła znienacka postać kobieca w stroju muzułmańskim, z twarzą szczelnie zawoalowaną i strzałem rewolwerowym, wymierzonym w plecy, powaliła go na ziemię, do leżącego zaś oddała jeszcze pięć strzałów, kładąc go trupem na miejscu.

Odprowadzona do komisaryatu policyi, oświadczyła tam morderczyni, że jest Włoszką i że w ten sposób chciała pomścić swą krzywdę na swym uwodzicielu, który w niedługim czasie miał zamiar z inną kobietą stanąć przed ołtarzem.

Przed dwoma niespełna laty nawiązali w Tunisie ze sobą bliższy stosunek, który ułatwiło, że obydwoje byli Włochami i znali się od lat dziecięcych. Giovanni Stimolo obiecywał Radici Consuelli małżeństwo, ona wierzyła jego zapewnieniom, wkrótce jednak przekonała się, że on o tem bynajmniej nie myśli. Nie pomogły prośby i błagania, uwodziciel porzucił swą ofiarę, która w następstwie zmuszoną była do opuszczenia domu rodzinnego. Przed niedawnym czasem, wezwana przez siostrę, powróciła znów do Tunisu i tutaj spotkała się z Giovannim. Powtórzyła się poprzednia scena, ofiara niemal na klęczkach błagała sprawcę swego nieszczęścia, aby jej nie opuszczał, gorące jej prośby pozostały jednak bez skutku. Zbył ją niczem, a gdy zrozpaczona odmową dowiedziała się, że niebawem ma poślubić inną, postanowiła krwawo pomścić swą krzywdę i hańbę. W tym celu przebrana w strój muzułmański szukała sposobności spotkania się z niewiernym, a gdy to nastąpiło, wykonała z zimną krwią swój krwawy zamiar.

Nowoczesna wieża Babel.

Według oficyalnych zapowiedzi odbyło się uroczyste otwarcie międzynarodowej konferencyi genueńskiej w wielkiej sali pałacu królewskiego San Georgio przy współudziale reprezentantów wszystkich państw interesowanych, kilkuset dziennikarzy i tłum ciekawych, chcących widzieć na własne swoje oczy tych wszystkich, którzy mają się zająć odbudową zniszczonej przez wojnę Europy. Uroczystość otwarcia miała przebieg bardzo podniosły, wygłoszono cały szereg przemówień programowych, w których mowcy podnosili z naciskiem, jakie to błogosławione skutki mieć będzie ten wielki zjazd wszystkich ludów, jak one zajmą się w krótkim czasie usunięciem tego złego, jakie wojna ze sobą przyniosła. Mowy gospodarza zjazdu, włoskiego premiera Facty i właściwego jego kierownika, Lloyd'a George'a, oklaskiwano gorąco i długo, telegraf i telefon z drutem i bez drutu rozniósł je po całym świecie i już widziano podnoszące się z gruzów, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ruiny i zgliszcza, atmosfera staje się tak pokojową, jak gdyby świat miał stanąć w samej rzeczy w przededniu ogólnego rozbrojenia.

Ale na tem właśnie pierwszem inauguracyjnem zebraniu skończyło się właściwie zgodne współdziałanie przybyłych, gdyż już nazajutrz obiegła świat wiadomość o zawarciu w Rapollo ugody między Niemcami a Rosyą sowiecką, niweczącej w zarodku cały plan odbudowy Europy, gwałcącej postanowienia traktatu wersalskiego i grożącej Europie nową wojną. Niespodzianka, której nikt nie oczekiwał, na inicyatorów i kierowników zjazdu podziałała piorunująco, zamiast zająć się sprawą odbudowy, rozpoczęto przeszło tydzień trwające, bezowocne młócenie



Nowoczesna wieża Babel: Wybitniejsi członkowie konferencyi genueńskiej przed wstępnem posiedzeniem, odbytem w pałacu San Georgio w dniu 9 kwietnia b. r. (Barrére, Schancer, sir Robert Horne, Lloyd George, Facta, Barthou, Theunis.



Nowoczesna wieża Babel: Członkowie delegacyi sowieckiej na balkonie swej kwatery hotelu Imperial w Rapallo.



Nowoczesna wieża Babel: Worowskij, Cziczerin i Litwinow podczas przechadzki w ogrodzie swej kwatery.

słomy, mające za zadanie uchronić świat od niechybnej katastrofy, w jaką musiałby ją pogrążyć ten nowy sojusz, z odbudową nie mający nic wspólnego.

Taki jest dotychczasowy wynik prac konferencyi i nadzieja ich dalszego ciągu, a lada dzień może przynieść wiadomość, że obrady zerwano, a uczestnicy rozeszli się jeszcze bardziej poważnieni. Są to smutne następstwa dwulicowej polityki wielkich mocarstw, w szczególności zaś Anglii, której chwiejność i gonienie za własnym tylko interesem, bez zważania na wolę sprzymierzonych, uzuchwaliły Niemców i pchnęły ich otwarcie w objęcia sowietów, co z góry przekreśliło wszelkie, mające się na zjeździe powziąć dopiero uchwały.

Poświęcenie organu w kościele paraf. w Podgórzu.

W Wielką Niedzielę 16 b. m. odbyło się uroczyste poświęcenie nowego organu. Już od wczesnego ranka tłumy ludu nie tylko z parafii podgórskiej ale i z Krakowa i całej okolicy wypełniły kościół i rynek podgórski. Hejnał z wieży brzmiał wdzięcznie, pogoda wspaniała dopisała. O godzinie 9 zajęli przygotowane miejsca w prezbyteryum p. minister skarbu Michalski z żoną, jenerał Osiński z żoną, wicewojewoda Kowalikowski w zastępstwie pana wojewody Gałeckiego, prezes Sądu apelacyjnego W. Walter, prezes Dyrekcyi Kolejowej Prachtel z żoną, Prezydyum miasta, zastępca komendanta Obozu Warownego, prowincyał Reformatów ks. Janicki, prowincyał Bonifratrów O. Misiak i inne duchowieństwo tak świeckie jak i zakonne, inspektor Policyi Państwowej Szczepański, dyrektor Tramwaju Fischer, komisarz dr. Weiss, naczelnicy urzędów krakowskich, właściciele względnie dyrektorzy fabryk i wiele innych osobistości. Przed kościołem ustawiła się kompania honorowa wojska z muzyką; porządek w kościele utrzymywał Korpus Weteranów podgórskich, harcerze i funkcyonaryusze Policyi Państwowej. O godzinie 9. ks. Probosz Niemczyński w asyście ks. Wargowskiego i Sternica, wraz z całym Komitetem obywatelskim przy oświetlonym całym kościele udał się na chór i tam uroczyście poświęcił organy.

Następnie Ks. Kucharczyk rozpoczął odprawiać mszę św. Na „gloria“ zagrał po raz pierwszy na organie pan Pasierb. Po ewangelii ks. Proboszcz podziękował w krótkich słowach obywatelom podgórskim za ich prace i trudy i ofiarność poniesioną około zakupna organu, wymienił członków Komitetu obywatelskiego, i przedstawił historyę tego organu. Podczas mszy św. dał koncert p. Bobilewicz, panna Bodnicka, p. Bętkowski, oraz chóry p. Truszkiewicza i chór Sokoli. Nadto grała na chórze orkiestra Korpusu Weteranów. Po mszy św. odbyło się uroczyste wbijanie gwoździ pamiątkowych, które rozpoczął minister Michalski. Uroczystość cała zakończyła się około południa. Organ budzi ogólny podziw. Firma A Homan stała się sławną w Małopolsce przez solidne wykończenie tego obywatele tej dzielnicy, znani z nadzwyczajnej ofiarności, zebrali około 70.000 koron. Lecz wojna z bolszewikami przerwała tę pracę. Dopiero ubiegłego roku zebrało się około stu obywateli w kancelaryi parafialnej i po uzupełnieniu i powiększeniu Komitetu, przystąpili do dalszej zbiórki ofiar na organ. Ludność parafii, mając zupełne zaufanie do członków tegoż Komitetu, składała nie tylko pieniądze, ale i złote



Poświęcenie organu w kościele parafialnym w Podgórzu: Grupa członków Komitetu podczas wbijania honorowych gwoździ.

organu, który na miejscu zmontowali pp. Jeziarski i Kantefer.

Przepiękna świątynia parafialna na Podgorzu, zbudowana jeszcze przed wojną, wyłącznie ofiarami obywateli podgórskich, przez szereg lat nie miała organu. Posługiwano się fisharmonią, przed kilkudziesięciu laty ofiarowaną przez ś. p. Szczepana Kaczmarskiego.

Za nowego Proboszcza księdza Józefa Niemczyńskiego zawiązał się w roku 1920 Komitet obywatelski, który postanowił zakupić organ. W krótkim czasie rzeczy, których ilość doszła prawie do pół kilo i srebrne, wysokości około sześć kilo. Komitet obywatelski zwrócił się po ofertę do kilku firm polskich, lecz niektóre z nich albo nie chciały wogóle zawierać umowy z powodu nie stałego kursu marki polskiej, albo z powodu braku odpowiedniego materyału. Lecz firma w Warszawie „A. Homan“, zwróciła się do Komitetu z propozycyą, że ma przed wojną zrobiony organ w stylu gotyckim, zamówiony do Baku na Kaukazie przez pana Rylskiego, do kościoła zbudowanego tam dla Polaków,



Poświęcenie organu w kościele parafialnym w Podgórzu: Pełny Komitet obywatelski zajmujący się zbieraniem składek i sprawieniem organów.

pracujących w kopalniach nafty, lecz z powodu wojny, cała transakcya upadła. Wezwany do Krakowa właściciel firmy p. Homan, poczynił odpowiednie pomiary, z których pokazało się, że organ ten zupełnie nadaje się do tego kościoła. Obywatele uchwalili zakupić ten organ i wezwany p. Homan sprzedał go za 7.500.000 Mkp. Składa się on z 24 głosów grających, pełnych, nie kombinowanych. Każdy głos zawiera 56 piszczałek, lecz



Zgon wybitnego urzędnika-obywatela: Sp. Kazimierz Laskowski, prezes Tow. Kredytowego Ziemskiego we Lwowie, marszałek Ziemi Sanockiej, b. delegat Namiestnictwa w Krakowie.

z pomiędzy tych jeden ma 224 piszczałki, drugi 256; są dwie klawiatury ręczne, a jedna nożna; w całym organie jest 1.566 piszczałek pełnych. Cała oprawa organu wykonaną jest w stylugotyckim i silnie pozłacana. Obywatele podgórscy, starając się o nabycie tego organu, mieli na celu nie tylko chwałę Bożą, ale i upamiętnienie zmartwychwstania naszej Ojczyzny. Dlatego umieścili napis, w mur kościelny wmurowany, że z własnych funduszów ufundowali ten organ na chwałę Boga i na pamiątkę zmartwychwstania Polski.

Zgon wybitnego urzędnika-obywatela.

Dnia 12-go kwietnia 1922 r. zmarł we Lwowie Kazimierz Korab-Laskowski, prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, mąż wielkich cnót i zasług. Urodził się we Lwowie w r. 1850, jako syn Felicyana, wiceprezesa tegoż samego Towarzystwa Kredytowego, członka Stanów galicyjskich i Anieli z hr. Łosiów Laskowskich. Gimnazyum i uniwersytet ukończył z odznaczeniem we Lwowie. W czasie studyów uniwersyteckich brał czynny udział w życiu akademickiem, był prezesem Towarzystwa Bratniej Pomocy, o którą rozwój gorliwie zabiegał, za łożył też towarzystwo „Byt“.

Po ukończeniu studyów prawniczych 1872 r. wstąpił do służby rządowej, najpierw w Prokuratoryi Skarbu, potem do Namiestnictwa. Pracował jako komisarz w Prezydyum za czasów Alfreda hr. Potockiego. Jego zdolności, pracowitość i ścisła obowiązkowość utorowały mu drogę do wysokich godności.

Był kolejno starostą w Brzesku, potem sekretarzem ministeryalnym w Ministerstwie spraw wewnętrznych w Wiedniu, radcą Namiestnictwa we Lwowie w Radzie szkolnej krajowej. W r. 1892 został mianowany delegatem namiestnictwa w Krakowie, 1893 radcą dworu. Przeszedłszy na emeryturę 1901, został wicemarszałkiem w Wydziale krajowym. W r. 1904 został dyrektorem Banku Krajowego, potem po zgonie Augusta Gorajskiego prezesem Rady nadzorczej Banku Krajowego. Był prezesem galic. Towarzystwa gospodarczego. Był też marszałkiem powiatu sanockiego, posłem na Sejm krajowy (od 1895 r.), podkomorzym cesarskim, kawalerem wysokich orderów. W r. 1921, po zgonie Stefana Moysy, wybrany został prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Był to mąż dawnego autoramentu, niezłomnych zasad, wymagający i twardy, młodszem pokoleniu mógł się wydawać nawet zbyt twardym. Lecz takie były jego zapatrywania, zapewne słuszne. Konserwatysta z rodu i przekonania, zasadom swym, choć mało popularnym, pozostał wiernym do końca życia. W myśl też tych zasad zawsze postępował. Można się było nie zgadzać z nim co do przekonań politycznych, lecz każdy musiał uszanować jego bezinteresowność i czystość. Wymagał wiele od swych podwładnych, lecz najwięcej od siebie samego. Jego pracowitość była niezwykła. Na krótko przed śmiercią adoptował, będąc bezdzietnym, swego siostrzeńca bar. Daniela Rodicha, naczelnika wydziału w Prezydyum Ministrów w Warszawie. — Zwłoki ś. p. Zmarłego złożono na wieczny spoczynek w grobowcu rodzinnym w Gorlicach.

Goście belgijscy w Małopolsce.

Wspólna dola i niedola zbliżają do siebie tak ludzi, jak i narody. Dzięki wypadkom wojennym nawiązaliśmy serdeczne nici z ludami Zachodu, których synowie obok naszych walczyli pod wspólnymi sztandarami i równie jak my ucierpieli wiele od jednego i tego samego wroga. Mamy tu przedewszystkiem na myśli Belgię, której los wojny dał się niemniej niż Polsce we znaki, a jej skutki długo jeszcze dadzą się odczuwać i wymagać będą wiele



Goście Belgijscy w Małopolsce: Uroczyste przyjęcie w auli Uniwersytetu lwowskiego w dniu 15 kwietnia b. r.

nakładu pracy, nim wrócą do dawnego stanu. Belgia była od nas w położeniu o tyle korzystniejszem, że samodzielności swej nie utraciła, kwitnące jednak przed wojną okolice ręka żołdaka pruskiego zniszczyła doszczętnie, pozostawiając po sobie, podobnie jak u nas, tylko popioły i zgliszcza. I Belgia i Polska podnoszą się zwolna ale stale z gruzów, a ta właśnie wspólna niedola przypomniała jednej o drugiej i zbliżyła je do siebie, Belgowie nie szczędzili nam nigdy dowodów swej sympatyi i współczucia w najcięższych dla nas chwilach i my nie byliśmy i nie jesteśmy obojętni wobec nich.

Celem bliższego poznania swej polskiej siostrzycy, jej ludności, zabytków, zwyczajów i obyczajów, bawiła w Polsce w początkach kwietnia wycieczka studentów uniwersytetu brukselskiego, którzy zwiedzili Warszawę. Lwów, Zagłębie Borysławskie, Kraków i Poznań.

W dniu 15 kwietnia b. r. przybyli do Lwowa studenci Uniwersytetu w Brukseli witani na dworcu przez delegatów młodzieży z prezesem Czytelni Akademickiej p. Bertonim na czele. Po śniadaniu w sali restauracyi kolejowej, goście udali się do auli Uniwersytetu, gdzie powitał ich rektor Kasprowicz, a imieniem młodzieży p. Adam Zieliński. Oba przemówienia zakończono okrzykiem na cześć Belgii. Imieniem gości przemawiał, dziękując za przyjęcie p. Villem Janssens. Imieniem Towarzystwa przyjaciół Francyi przemawiał wiceprezydent Dębowski oraz profesor Syroczyński jako dawny słuchacz Politechniki w Leodyum. Następnie goście udali się na śniadanie do Czytelni Akademickiej. Popołudnie poświęcono zwiedzaniu miasta. Wieczorem w hotelu Krakowskim odbył się bankiet na cześć gości, którzy następnie udali się w dalszą drogę do Borysławia.

W powrotej drodze z Borysławia zatrzymała się wycieczka w Krakowie, podejmowana serdecznie przez naszą młodzież uniwersytecką.



Pogrzeb ostatniego cesarza Austryi: Przeniesienie zwłok cesarza Karola z mieszkania do kościoła w Funchal. Za trumną ex-cesarzowa Zyta z arcyksięciem Ottonem.

Pogrzeb ostatniego cesarza Austryi.

Bez zwykłej pompy, przepisanej dworskim ceremoniałem, bez udziału członków rodziny panującej,

RENÉ BURES.

Zil=X...

26) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

— Pomówimy jeszcze o tem — oświadczył Dalton. — Już się także nad tem zastanawiałem. Ale teraz musimy myśleć o czem innem. Pozostawimy to na czas wolniejszy. Do widzenia.

— — — — — — — — — — — — — —

Siedzieliśmy teraz przy stole, pozornie zadowoleni bardzo z przepędzenia paru godzin w towarzystwie wesołych a sympatycznych kobiet, w gabinecie tonącym w dyskretnem pół świetle. Spóźniwszy się, jak to umówionem zostało, do kabaretu pod „Złotym Chrząszczem“, zastaliśmy już tam Roberta Dartigues z kochanką swoją Monną Bamboche, Daltona-Wiliama Beull i Zaklinę Dubois.

Nie bez pewnego wzruszenia spojrzałem na młodą aktorkę i zrozumiałem zaraz, że Jerzy Dambleuse, ten człowiek tak zimny i panujący nad sobą, mógł tak gorąco i bezkrytycznie pokochać tę zadziwiającą istotę. Zaklina Dubois posiadała twarz ogromnie ruchliwą, rozpromienioną dziwnemi niepokojącemi oczami o nadzwyczajnym blasku, usta drobne i świeże, twarz delikatną i przepyszne, bogate, popielato-blond włosy, które bujnemi falami okalały jej twarz namiętną i tak wymowną! Tak, Jerzy Dambleuse mógł do szaleństwa zająć się tą kobietą. Ale czy kochał ją jeszcze dotąd? Czy kochał ją do tego stopnia, że dla niej mógł popełnić zbrodnię? Czy ta drobna, niepokojąca istota była wmieszana i może nawet brała udział w morderstwie, popełnionem na senatorze Poivier, w którego biurku znaleziono jej listy i fotografię?

Czy ona kochała kiedykolwiek naprawdę Jerzego Dambleuse? A ten Rumun, czy Słowak, dzisiejszy jej kochanek, jaką rolę grał w tem wszystkiem?

Zadawałem sobie wszystkie te pytania, wpatrując się niedyskretnie i ciekawie w twarz Zakliny Dubois. Towarzystwo przy stole zachowywało się dosyć milcząco. Te pierwsze chwile poświęcone były jedynie jeszcze zaspokojeniu pierwszego głodu, podrażnionego doskonałemi potrawami, stojącemi przed nami.

Zauważyłem, że kochanka Roberta Dartigues, Monna Bamboche, nie ustępowała w urodzie swojej przyjaciółce. Byłem wówczas jeszcze dosyć młodym, aby obecność przy mnie dwóch ładnych i interesujących kobiet nie podziała na mnie. Zresztą, specyalny nastrój gabinetu restauracyjnego, światła, wina i dobry obiad, wprowadziły mnie potrochu w takie usposobienie, że zaczynałem powoli zapominać o głównym celu, który mnie tu sprowadził.

Robert Dartigues, chłopiec doskonale zbudowany, krwisty i zdrowy, jadł z wielkim apetytem, lecz spostrzegłem, że był trochę niespokojny i nawet chwilami zmięszany. Dalton zaś zachowywał się najobojętniej w świecie.

— Wiecie panowie — odezwał się w pewnym momencie René Dambleuse z gestem niezrównanej nonszalancyi — co mi się najwięcej podoba w Paryżankach dzisiejszych?

— Co? co? — podchwyciła ciekawie Monna Bamboche.

— Ich apetyt...

— Apetyt! Ah! co znowu!

— Tak, kochana pani. Nasze kreolki mają w sobie coś nienaturalnego, chorobliwego, co nuży prędko. Dlatego też piję na zdrowie pań — dodał stary, świetnie grający swoją rolę. — Zdrowie królowej brunetek, nadzwyczajnej, pięknej Monny Bamboche i zdrowie najpiękniejszej z blondynek, jakie kiedykolwiek spotkałem w życiu — czarującej naszej divy, Zakliny Dubois!

— On jest wspaniały, ten stary książę — szepnęła półgłosem do Roberta Dartigues Monna Bamboche.

— Taka chwila, jak dzisiejsza — ciągnął dalej stary Dambleuse — nie prędko może się powtórzyć. Korzystajmy więc z niej! Odrzućmy od siebie wszelkie troski i smutne myśli i bierzmy to, co nam życie daje. Panie Dartigues, proszę nie gniewać się na mnie za ten zachwyt, okazany nieocenionej przyjaciółce pana. Przypomina ona mi ogromnie jedną ze siedmiu kobiet, które naprawdę w życiu swojem kochałem!

— Oryginalny stosunek — zaśmiała się Monna Bamboche, pokazując w uśmiechu drobne, białe zęby. — Podoba mi się.

Słowa te rzucone były w ten sposób, aby doszły uszu starego Dambleuse. Pochylił się więc w jej stronę i skinieniem głowy podziękował za komplement.

Dalton już teraz był zajęty jedynie Zakliną Dubois. Dolewał jej ciągle wina, starając się mięszać je jaknajwięcej, chcąc wywołać u niej wesołość i ożywienie. Ale aktorka nie reagowała na te wysiłki. Siedziała smutna, milcząca, daleka od towarzystwa.

Spostrzegł to stary uczony i do niej zwrócił się teraz z uprzejmym uśmiechem.

— Oh! pani — zawołał! — Co widzę! Kieliszki twoje pełne, a na twarzy osiadł smutek jakiś. Czy to się godzi! Pijmy, kochana pijmy! Dobre wino potrafi zwalczyć smutek najcięższy! Gdybyś była mężczyzną, musiałabyś mi zdać rachunek za tę odmowę niczem nieuzasadnioną! Wino jest doskonałe, a podaje je życzliwa, gorliwa ręka! Niema więc tłumaczenia żadnego! Ale może to wino szlachetne za silne jest na wątły organizm pani? Napijmy się więc tego orzeźwiającego, musującego szampana. Tego mi pani odmówić nie może — wszak prawda?

— Dziękuję panu — oświadczyła z miłym uśmiechem Zaklina. Nie jestem spragniona...

— Oh! pani... szampana pić można w każdej porze! Jakto? więc i prośba starego człowieka nie wzruszy panią?

— Mogę umaczać usta w kieliczku, jeżeli taki zwyczaj w pana kraju, aby pana nie urazić ale pić więcej nie będę — wyrzekła aktorka podnosząc kieliszek.

— Ależ pani! To samo jest już obrazą dla mnie — zawołał znowu stary Damleuse z oburzeniem!

— Panno Zaklino — wmięszał się Dalton, który wiedział do czego stary uczony zmierza. Książę nie zapomni nigdy pani tej odmowy.

— Oh! Caramba! gdyby mi coś podobnego zrobiła kobieta mojego kraju — zabiłbym przez zemstę jej kochanka — oświadczył z całą powagą stary.

— A gdzież jest pana kraj — zapytała Zaklina.

— Tam! daleko... westchnął ciężko Dambleuse.

Na słowa „kochanek“ Zaklina Dubois zaczerwieniła się lekko. Dalton wpatrywał się w nią uporczywie. Zrozumiał on doskonale grę starego Dambleuse i nalegać zaczął niedyskretnie.

— Pozostawmy to już mości książę, mógłby pan naprawdę wywołać jakąś sprzeczkę niemiłą i niebezpieczną.

— Książę nie potrzebuje się obawiać — odezwała się na to żywo Zaklina. — Ja nie mam kochanka... do zabicia.

Przy ostatnich słowach zaśmiała się nerwowo.

— Pani niema kochanka? zawołał ze zdumieniem fałszywy książe Teodor.

— Nie!

— Pani niema kochanka! — powtórzył stawiadając tak nagle kieliszek na stole, że tenże rozprysł się w kawałki.

— No, no, dajcie panowie spokój — wtrąciła się Monna Bamboche. Nie dokuczajcie mojej przyjaciółce. Nie wiecie nawet jaką jej tą rozmową przykrość sprawiacie.

— Cicho bądź — rzekła Zaklina. Tak, książę, niemam kochanka, to jest, nie mam go już!

— Caramba! — wybuchnął Dambleuse. — W takim razie ja mogę się kochać w pani!

— Doskonale — zaśmiała się sztucznie Zaklina, która siliła się teraz, aby rozmowę w żart obrócić. — Będziemy się kochać aż do śmierci!

Czuć jednak było w jej głosie silne wzruszenie i zdenerwowanie.

— Aż do śmierci! — zawołał stary Dambleuse, wychylając świeży kieliszek do dna. — Zabiję każdego kto ośmieli się odtąd spojrzeć na panią!

— Oh! — szepnęła Zaklina.

— Musiałem panią dawniej już kochać.

— Czy to możebne!

— Postaram się przekonać panią o mojej miłości. Niech pani posłucha opowiem pani coś ciekawego. To było w Meksyku... kobieta pewna, powiedziała mi, że nie wierzy w moją miłość... Wie pani co zrobiłem, żeby ją przekonać?

— No — co?

— Zabiłem jej męża!

— Pan go zabił!?

— Tak... Dostał trzy kule w głowę...!

Przy tych słowach stłumiony okrzyk wyrwał się z piersi Zakliny.

— Ah! mój Boże! — zwróciła się Monna z wyrzutem do Roberta Dartigues. Twoi przyjaciele są tacy niedelikatni. Mówią jedno głupstwo za drugiem.

— Co to takiego — zapytał z udanem zdziwieniem Dalton.

— Nic! Nic! — szepnęła Zaklina odzyskując już równowagę.

— Pani tak zbladła! i drży? co się stało? Niech pani odpowie.

— To nerwowe.... Słuchajcie, moi kochani, nie czuję się czegoś dobrze. Będę musiała odejść ale wy nie przerywajcie obiadu... moja obecność w tej chwili nie jest tu pożądana.. będziecie się lepiej bawić bezemnie.

— Ale co znowu! Co znowu! Nie puścimy pani! — odezwaliśmy się z protestem...

— Niech pani usiądzie i wypije naprawdę trochę wina — radził życzliwie Dalton. — Zaraz siły powrócą zobaczy pani.

— Całe życie wymawiać sobie będę, że zrobiłem pani przykrość — zawołał z zapałem René Dambleuse.

— To nic książę, to drobnostka — uśmiechnęła się lekko Zaklina siadając.

Widziałem, że Dalton był bardzo rozczarowanym. Widziałem, że Dalton był bardzo rozczarowanym obrotem wypadków. Jasnem było, że Zaklina nic powiedzieć nie będzie chciała i przy pierwszej uczynionej aluzyi wstanie i opuści nasze towarzystwo. Miałem wrażenie, że przyjaciel mój waha się nad czemś. — Ale nad czem? tego zrozumieć nie mogłem.

Obrzucił nas nagle wszystkich bacznem spojrzeniem, w końcu wzruszył ramionami, jak człowiek, który stawia wszystko na ostatnią kartę. Widziałem jak nieznacznie skinął na garsona, usługującego nam.

— Przyszlij mi tu natychmiast strzelca — rozkazał.

— Co jest? — zapytałem cicho, pochylając ku niemu.

— Nic — odparł Dalton głośno. Ciekawy tylko jestem bardzo, czy mój przyjaciel Lafleur przeszedł przez głosowanie wyborców.

— Ah! tak! — zawołał Robert Dartignes — To się ma dziś wieczorem rozstrzygnąć. Zapomniałem zupełnie o tem.

Zacząłem się głęboko zastanawiać. Cóż u dyabła. Cóż to miało znaczyć? Co za związek miały wybory pana Lafleur z morderstwem pana Poivrier i listami Zakliny Dubois znalezionymi w jego biurku. A przedewszystkiem dlaczego Dalton nie mówił mi dotąd o tem? Czy nie zanadto starał się być tajemniczym i dyskretnym?

Tymczasem Dalton spokojnie oczekiwał obierając starannie gruszkę trzymaną w ręce.

Wszedł strzelec niosąc „Nowości“ drugie wydanie codziennego pisma. Pierwszy artykuł wydrukowany był grubemi czcionkami, zwracającemi uwagę.

Dalton pochwycił dziennik i zaczął na drugiej szpalcie niecierpliwie szukać sprawozdanie z wyborów interesujących go tak brdzo.

Ja tymczasem dostrzegłem mimowoli na pierwszej zwieszającej się stronie słowo jedno, które mnie tak zelektryzowało, że podskoczyłem na krześle, wpatrując się w Daltona z przerażeniem.

Widziałem jak ręka jego trzymająca dziennik drżała lekko... Po chwili złożył dziennik i teraz dopiero zwrócił uwagę na pierwszy, grubemi czcionkami wydrukowany artykuł.

Okrzyk zdumienia wyrwał się z jego piersi.

— Oh! Coś nowego! — rzucił donośnym głosem... — Jerzy Dambleuse... wiecie... ten morderca...

— Co? co? — zawołała Zaklina Dubois blednąc nagle... co się stało!

— Popełnił dziś samobójstwo w więzieniu.

Zaklina wydała okrzyk przeraźliwy. Machinalnym ruchem rękami przycisnęła serce i głowa jej bezwładnie opadła na poręcz krzesła.

Byłem pewny, że zemdlała.

Ale była to istota obdarzona niezwykłą mocą i darem panowania nad sobą.

Gwałtownym wysiłkiem zapanowała nad sobą i wyprostowała się żywo.

— Co pani jest? — zapytał stary Dambleuse bezdźwięcznym głosem.

— Nic... nic... — wymówiła Zaklina blada jeszcze i zmieniona... czy może mi pan podać...

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

Chciała go chwycić za ramię, ale odsunął ją szorstko od siebie:

— Byłem w domu — u siebie...

— W jakim domu?...

— W moim!... Dziecko mi zachorowało ciężko!... Krzyśka!... dyfterytu dostała!... Ledwie odratowali!... Byłaby umarła!... W gorączce biedactwo tatusia wołało!... Jezu mój!... Jezu!...

Zakrył twarz rękami, grdyka poruszała mu się silnie. Stefa popatrzyła na niego szeroko otwartemi oczyma:

— Także historye! — sarknęła — i dlatego ja muszę całą noc się niepokoić i z obiadem czekać!... A wiesz ty, co mi zrobił ten łajdak reżyser?...

Machnął ręką niedbale, zaznaczając w ten sposób, że go to mało obchodzi.

— Chodźże jeść obiad!...

— Nie! — potrząsnął głową — ja muszę wracać do niej... do mojej Krzysi... Zresztą słuchaj — ciągnął dalej tak szybko, jakby chciał co najprędzej zrzucić z siebie jakiś ciężar — ja ci powiem prawdę... My się musimy rozstać!...

— Co?! co?! — Wszystkiego się spodziewała Stefa, tylko nie tego.

— Musimy się rozstać!... — powtórzył, usiłując nadać sobie ton pewności.

— Czyś oszalał?!

— Nie! ja tylko wróciłem do rozumu i sumienia!...

Stefa osłupiała formalnie. Co to jest? chyba to sen jakiś niedorzeczny... To Bąbel — ten niewolnik, tak bez zastrzeżeń władzy jej podległy, ośmiela się jawnie buntować?...

A on posępnie, nie patrząc na nią, ciągnął dalej:

— Tak mnie oczarowało, żem o prawach Boskich i ludzkich zapomniał... żem się na pośmiewisko podał i o mało ciężkiej pracy nie zmarnował... Pan Bóg chciał mnie za to pokarać... pokarać ciężko... ale jeszcze dał mi czas, żebym ze złej drogi zawrócił...

Głos mu drgał wzruszeniem... Z każdego jego słowa, z każdego gestu biła przesądna chłopska skrucha — równie twarda, jak twardem było zapamiętanie w grzechu.

Stefa tej zmiany psychicznej, zaszłej nagle w tym człowieku, pojąć i wytłómaczyć sobie nie umiała, ale to zrozumiała, że go traci, że usuwa się jej z pod nóg jedyny grunt, na którym obecnie budować mogła świetne pałace swej marzonej przyszłości... Postanowiła rzucić się do swego niezawodnego środka łez, krzyków histerycznych, spazmów... Głośno szlochając, padła na fotel:

— Ach!... ach!... — chwytała się za piersi, za skronie i płakała, płakała prawdziwemi, wielkiemi łzami, wyciskanemi przez złość i obawę o to, co będzie...

Ooo!... — spazmowała.

Zawsze w takich wypadkach Bąbel rzucał się na kolana, obsypywał ją czułościami i pieszczotami, przyrzekał wszystko, czego zechciała, i każda scena spazmów kończyła się zupełnem jego pognębieniem oraz jakimś kosztownym podarunkiem. Tym razem miała się Stefa zawieść. Bąbel nie ruszył się nawet z miejsca, tylko ręką wsparł się o blat stolika, przy którym stał i rzekł:

— No skończże już raz, bo chcę pogadać z tobą na rozum...

To podziałało na nią jak zimny tusz i zoryentowało ją, że musiało zdarzyć się coś zgoła niezwykłego i że trzeba zastosować niecodzienne metody...

Przestała płakać wrzaskliwie, spazmatycznie i łkała już tylko cichutko, żałośnie, pochylając głowę na piersi jak skrzywdzone dziecko:

— I pomyśleć, że ja dla tego człowieka poświęciłam wszystko!... Matkę... karyerę... dobrą opinię... — skarżyła się.

— Coś ty tam poświęciła!... Nędzę u matki i tego dyrektora, co ci nie chciał dawać tyle pieniędzy, ile ci potrzeba było?! To ja... to ja poświęciłem... Boże! nie karz za moje winy dziecka mego!...

— Kochałam cię!... umrę!... zabiję się, jeśli mnie porzucisz!...

— O! tu masz kochanie twoje... To jest dowód, a wiele takich innych... — rzucił jej na kolana list, który niedawno pisała do Sternnagla, naznaczając mu schadzkę. List zaczynający się od słów: „Mój ukochany kudłaty psiaczku", zawierał mnóstwo błędów ortograficznych i moc namiętnych wyrażeń.

— A czy to tylko ten żydziak?... Czy to ja nie wiem o innych?!... I to wszystko za moje pieniądze!... za moją krwawicę!... — zacisnął pięści.

— Nie wierz Antoś, nie wierz! to kłamstwo!... plotki!... obmowa!... oczernili mnie, żeby z tobą rozłączyć!... ja cię kocham!... ja ci byłam wierna!... ja żyć bez ciebie nie mogę!...

Zerwała się z fotelu i ogarnęła go ramionami, zasypując mu twarz falą jasnych, miękkich, pachnących włosów... Usta swoje przycisnęła do jego twarzy... Bąbel pobladł i zadrżał... Czuł, że go zaczyna niewolić znowu ten potężny czar zmysłowy, przez który Stefa władała nim... Przenikało go ciepło jej ciała... pieścił delikatny aksamit skóry... upajała woń włosów i perfum... Jeszcze chwila, a runie w otchłań żądzy... grubej... pierwotnej... nieokiełznanej...

Nagle z fotograficzną dokładnością na siatkówce jego oczu odbiła się drobna twarzyczka, płonąca gorączką o zmętniałych modrych źrenicach... Twarzyczka jego dziecka, które w tym momencie walczy może ze śmiercią...

— Boże! zlituj się...

Odepchnął od siebie Stefkę, dysząc ciężko...

— Odejdź!... ja poprzysiągłem tam przy łóżku mojego dziecka... że za jego życie nie chcę cię więcej znać!...

Spoglądała na niego rozszerzonemi oczyma, napół przytomnie... Opuszczały ją już siły... Nie wiedziała co począć... wyczerpała cały swój rozporządzalny arsenał... Wszystko chybiło celu... Może go zastraszyć...

— Słuchaj ty!... — warknęła — ty tak ze mną nie igraj!... Jam nie pierwsza lepsza, żebyś sobie tak mógł ze mną postępować!... Zobaczysz! ja cię do sądu zaskarżę!...

Spojrzał zdumiony:

— O co?!...

— Żeś mnie uwiódł!... obiecałeś się żenić ze mną!...

— Nie dajże się wyśmiać!... Niby to ty nie wiedziała, że ja mam żonę i dzieci... A co się tyczy uwiedzenia, to lepiej, żebyś się daremnie nie *kompremitowała*.

— Cham!... parobek!...

— I tyś nie hrabianka!... Ale mniejsza o to!... Słuchaj, ja czasu nie mam, mnie do chorego dziecka spieszno... napiszę ci list, jak wszystko ma być, bo dogadać się z tobą nie dogadam... Tylko tyle ci powiem, że od pierwszego mieszkania i służącej płacił nie będę!...

— Łajdaku!...

— A po meble ze salonu i z jadalni to przyjdą, bo wypożyczone!... Sypialnię możesz sobie wziąć — a to także ciężkie „hopy"...

Chciał jeszcze coś mówić dłużej, ale skoczyła ku niemu z zagiętymi drapieżnie palcami... Byłaby mu niezawodnie sięgnęła do oczu, ale zdołał umknąć w porę...

— — — — — — — — — — — — — — —

Łączkowa krytycznem spojrzeniem badała eleganckie, ale po większej części podniszczone toalety swej córki, które wyciągała z kufrów i jej batystową, koronkami i haftami zdobną bieliznę. Skrzywiła pogardliwie usta:

— Gałganki!... kosztowało pewnie Bóg wie ile, a co z tego?... Szmatki... Żyd by za to dziesięciu tysięcy nie dał!... Ty zresztą szanować nic nie umiesz... wszystko poplamione... podarte... zniszczone...

Stefa w ponsowym, jedwabnym, strojnym, ale przybrudzonym szlafroku leżała na starej, wygniecionej otomanie i paliła papierosa... Jedną rękę zatopiwszy w nieuczesanych włosach, dumała nad czemś głęboko, nie reagując zupełnie na gadanie matki.

— Stefa!...

— Co?...

— Popatrz się, w tej czarnej, aksamitnej sukni dziura wypalona papierosem!... Że też ty poszanować nie umiesz!...

— Niech mnie mama nie nudzi!...

— Aha!... nudzi!... nudzi!... matka nudzi!... A jakbyś matki była słuchała — inaczejby było!... A tak!... Coś zyskała?!... *dyfamacyę* na honorze panieńskim i kupę łachmanów... O! futro mole zjadły!... taki śliczny „*kawałek*".

Pokiwała żałośnie głową, nie przestając przetrząsać dalej zawartości dwóch wielkich kufrów i trzech waliz...

— Bielizna ładna, ale to wszystko cieniutkie, delikatne, w praniu rozłazi się... I do reszty — niechętnie, prawie ze wstrętem rzuciła w głąb kufra powiewne, wytworne „*dessous*" z jedwabnego różowego batystu — czy to dla przyzwoitej panny takie *firlefancye*? Co innego, żebyś se była sprawiła porządne płócienne koszule...

Stefa milczała, patrząc bezmyślnie w ścianę pomalowaną w niebieskie pasy i puszczając kółka dymu.

Matka podeszła do okna i otworzyła je.

— Ćmisz cały dzień te papierosiska, że oddychać nie można!... Nie szkoda to pieniędzy?!...

— Za swoje kupuję!... — warknęła Stefa — jeszcze mama do mnie grosza nie dołożyła!...

— A co będzie, jak pieniędzy zabraknie?... Sprzedaż te parę pierścionków, *perfumów* i pończoch jedwabnych nakupisz i już po pieniądzach... Znam ja cię...

— Niechże mama przestanie, bo ucieknę stąd!...

— Niby dokąd? Żebyś ty miała gdzie uciekać, nie przyszłabyś ty do matki!... Stefa!...

— No?...

— Słuchaj, dużo ty masz jeszcze pieniędzy?...

Stefa zerwała się i siadła na otomanie po turecku z podwiniętemi pod siebie nogami.

— Nie!... doprawdy, że mama się już staje nie do zniesienia!... Wściec się można!...

— A wściekaj się, wściekaj! Dużo ci to teraz pomoże, kiedyś wszystko przefujarzyła... Z teatru cię przegnali, kochanek cię *kantem puścił*...

— Dosyć!...

— Co ty mi wrzeszczysz: dosyć! — oburzyła się Łączkowa — gębę matce chcesz zamknąć — w moim własnym domu!... Wiem, żeś nierada słuchać prawdy, ale ja wypowiedzieć muszę, co mam na sercu...

— Matka mnie do czego najgorszego doprowadzi!... — jęknęła Stefa.

— Co ci się też jeszcze gorszego przydarzyć może? Jak się ty teraz między porządnymi ludźmi pokażesz?... Cały dom śmieje się z ciebie i ze mnie... Palcami nas wytykają...

— Dużo sobie robię z tej hołoty!...

— Hołota nie hołota, ale dokuczają... A najgorsza ta Michalczykowa... Pyszni się teraz, nadyma, że to tę swoją zezowatą Polkę wydaje za mąż...

— Za kominiarza...

— Majster kominiarski — to fach dobry, zarobek pewny... A z tobą kto się teraz ożeni!... Żebyś się to była biura i uczciwej pracy trzymała... Twoje koleżanki biurowe wszystkie za mąż wychodzą... Ta tłusta Mania zaręczyła się z jakimś kolejarzem, Kuźmiczówna — takie to ni z pierza ni z mięsa, małe, chude, czarne i biedne jak mysz kościelna — wychodzi za mąż, za pana Króleckiego.

Stefa syknęła jakby oparzona:

— Jeszcze nie wyszła... a choćby nawet, to on ją będzie zdradzał — tę brzydulę!... to chuchro!...

— To i co? a czy to który chłop wierzy, choćby i najurodziwszą miał?! Ale zawsze co ślubna żona, to ślubna!... Z ładnemi się pobawi, a do swojej w końcu wróci!... Doświadczyłaśty na sobie, że i najładniejszej nie równać się ze ślubną żoną!...

— Przestańże matka już raz...

Ale Łączkowej ani się śniło zaprzestać.

— A mówiłam: idź za Woźniewidza, dobry chłopiec, porządny chłopiec, z pańskiej *familii*, delikatny i patrzy w ciebie, jak w obraz święty!... Ale ty...

— Woźniewicz?! — zawołała, uderzona nową myślą — patrzcie państwo, zapomniałam o nim na śmierć!...

— Zapomniał i on o tobie! — westchnęła matka.

— O! co to — to nie!... — zaprotestowała z niesłychaną pewnością.

— Jakże nie!... kiedy pojutrze jego ślub z tą Kazią, coś ty jej tak znosić nie mogła... W domu dzieciśków pełno, bieda aż piszczy, ojciec pijak — dziewczyna do trzydziestki mało co, albo i nic nie braknie...

Stefa zeskoczyła z kanapy. Oczy jej błyszczały jak kotowi, który się czai na mysz.

— Ta nadęta purchawka!... On się z nią nie ożeni!...

— Mówię ci, że pojutrze ślub!... wszystko do wesela przygotowane...

(Ciąg Dalszy Nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

2)

— Nie — odparł Edward — mylicie się... Ta zaraza z waszego kraju pójdzie wszędzie, jak ten swąd onegdajszej pożogi... Wciśnie się w każdą szczelinę... To bez wpływu minąć nie może... To wszędzie na pewien czas zatruje myśli i uczucia...

— Ale na pewien czas... powiadasz... Więc pan się nie boisz, by to w przyszłości miało wszędzie pogasić gwiazdy światów Ducha.

— Oczywiście, że się nie lękam. Ja wierzę, jak nasz wspólny przyjaciel, Zygmunt, że w walce tych dwóch światów musi zwyciężyć ten górny...

Wtem zjawił się nowy gość.

Znali go wszyscy, ale powitali bardzo niechętnie. A już gospodarz i jego żona nie mogli ukryć swego niezadowolenia.

Zresztą człowiek ten nigdy tu nie bywał... Skądże właśnie w takiej chwili ma ochotę ich odwiedzać?...

A redaktor z kruczą kędzierzawą czupryną nic sobie nie robił z wyraźnej niechęci, lecz witał się ze wszystkimi natrętnie.

Po pierwszych słowach Iza zadrżała na całem ciele. Przybyły bowiem zaczął opowiadać o Zygmuncie. Nie mogła się powstrzymać od pytań:

— Więc dojechał szczęśliwie do matki... Więc zastał ją jeszcze przy życiu...

— Ależ tak... wyzdrowiała.

— A zatem dojechał tam jeszcze przed zdobyciem miasta przez czerwonych.

— Ależ naturalnie. Brał jeszcze udział w wieczorze politycznym przeciwko nowym zwycięzcom...

— Co też pan mówi... Zygmunt do polityki się nie wtrącał...

— A jednak... się zaprosić do uświetnienia koncertu, przed którym wygłaszano w bardzo ostrym tonie mowy polityczne...

— Skąd pan wie o tem tak dobrze?

— A no... widzicie państwo... jako redaktor mam wszędzie znajomości... Mam też i pewne stosunki z tymi, którzy za wojskami wkroczyli teraz do naszego miasta na czele władzy cywilnej... A że właśnie stamtąd do nas przyszli, że mnie mogły interesować te rzeczy... więc wśród rozmowy dowiedziałem się i tego... Że zaś wiem, jaką czcią cieszył się w tym domu nasz nieodżałowany kompozytor... więc przyszedłem...

Głos Izy nie dał mu dokończyć. Cała zadrżała, zbladła — i mąż zaczął ją uspokajać.

— Więc co się z nim stało? — pytano.

— A no... miał zły pomysł zgodzić się na udział w takim wieczorze... i to w chwili... gdy można było spodziewać się z dnia na dzień zmiany władzy... Grał swoje „Dwa światy"... A nawet po wieczorze... indagowany, opowiadał treść utworu.

— I co i co? aresztowano go!

— Ha... gdy przyszli czerwoni... wskazano zaraz w pierwszej chwili uczestników politycznego wieczoru... Rzeczywiście samych działaczy białych... Więc między nimi... z miejsca... bez sądu... rozstrzelano i muzyka.

Gdy mąż docucił Izę z omdlenia, grono przyjaciół nie mogło się rozejść — i pod strasznem wrażeniem — rozmawiało dalej o autorze „Dwuch światów".

Przeszkadzała obecność natrętnego redaktora, ale się z tem pogodzono, że dzięki niemu miano tak wcześnie żałobną wiadomość.

A W tem właśnie on zagadnął gospodarza:

— Nie pamiętam, kto mi mówił, że muzyk stworzył swą sonatę pod wrażeniem pańskiego wiersza.

Edward milczał.

— Ależ tak.... Nawet sobie przypominam tytuł.... chociaż nie pamiętam w jakim dzienniku pan to drukował....

Edward zmarszczył piękne brwi krzaczaste.

— Przedewszystkiem nie w dzienniku... bo uważam, że dla poezyi nie miejsce w ordynarnej codziennej gazecie. Nawet tygodnik jeszcze mi się wydaje za pospolity. Uznałbym od biedy na to miesięcznik, jeśli nie kwartalnik, wykwintny rocznik...

— Ależ to z pana arystokrata!

— O, tak, panie.... z całej duszy brzydzę się chamstwem.

— Ha, trudno, panie, by dlatego nie miały wychodzić brukowe dzienniki, że poeci woleliby swe sonety umieszczać w wytwornych illustracyach.

— Przepraszam pana — rzekł Edward — mimo woli byłem niegrzeczny względem swego gościa... Zapomniałem, że mam do czynienia właśnie z redaktorem gazety. Ale powtarzam, że mam na myśli tylko prawdziwą poezyę....

— Ja się nie obrażam. Ale prawda, że się nie mylę i nawet dobrze pamiętam tytuł owego pańskiego wiersza.... „Biały sztandar".... Czy nie tak?

— Tak — wycedził gospodarz przez zęby.

— Polityczny wiersz.... prawda -- zagadnął redaktor, poprawiając binokli na nieco zgarbionym nosie.

Lecz rzeźbiarz, tuż przy nim siedzący, żachnął się:

— Co pan gadasz.... wszak sam wiesz najlepiej, że pan Edward nie wtrąca się nigdy do polityki....

— No tak, ale dziś sam tytuł tyle mówi.

A wtedy siedzący w kącie malarz, który częściej niż pędzlem lubił się bawić reżyserią w poważnym teatrze, jął niby od niechcenia recytować ostatnie strofy „Białego sztandaru", których treścią było to samo, co zawarł w ostatnich akordach swej wielkiej sonaty tragiczny twórca „Dwóch Światów".

Wstrząsające słowa płomiennego wiersza porwały grono słuchaczy. Pod wielkiem wrażeniem nastała chwila ciszy.

I w tę ciszę padły wstrętnym zgrzytem wyrazy, wyplute znowu przez redaktora:

— A jednak polityczny wiersz.... polityczny....

To też wielka ulga ogarnęła towarzystwo, gdy po tych słowach wyniósł się gość niemiły.

II.

Noc zapadła ciemna, bezgwiezdna.

W braku służby Edward wyszedł z wieczora pozamykać okiennice. Miał już wracać, gdy w drzwiach ganku od ulicy przystanął jeszcze.

Miasto robiło wrażenie wymarłego. Gdyby nawet nie było rozporządzenia, że od chwili zmierzchu wychodzić na ulicę nie wolno, ludzie i tak nie mieliby odwagi oddalać się od domu wśród tego mroku ulic umyślnie nieoświetlonych.

Panowała cisza, ale zdaleka dolatywało szczekanie i wycie całego mnóstwa psów. Wytwarzało to muzykę dziwną, niesamowitą....

Edward z progu wsłuchiwał się w to i żałośnie głową potrząsł.

Doznał wrażenia, że widzi całe mnóstwo ogarów.... wygłodniałych.... wściekłych....

....Gryzą się między sobą do krwi.... i wśród piekielnego ujadania raz za razem rzucają się na białą chorągiew... jak obłok górą płynącą.... by ją ściągnąć w kurz śmietników.... by ją unurzać w błocie kałuż ulicznych i taką zszarganą wyrywać sobie pyskami.... w jusze wściekłej uwalanemi.... i targać zębami bez końca.... na strzępy.... póki się ścierka brudna nie rozpadnie w kawałki....

— Wyjcie, psy wściekłe — mruknął Edward — niedoczekanie wasze! Zygmunt padł.... ale pieśń jego płynie.... jak mój sztandar, niesie się górą w kraj Ducha....

W tem zdało mu się, że za węgłem daleko tłucze się echo czyichś kroków po bruku, więc cofnął się za drzwi i zaryglował je na noc.

A właśnie szła już ku niemu Iza pełna niepokoju. Wrócili z sieni razem, objąwszy się czule ramieniem.

— Czyś ty pewny mój Edi, że twoje dokumenty cudzoziemskie ochronią nasze mieszkanie od ich urzędowej grabieży?

— Naturalnie — uspokajał — nie odważą się.

Kiedy się znaleźli w sypialni, gdzie łóżka ich stały pod przeciwległemi ścianami, Iza wpadła w szloch nerwowy. Podszedł mąż do niej i z trudem zdołał ją utulić.

— Boję się — powtarzała raz za razem — ciągle staje przedemną widmo biednego Zygmunta... Boję się...

Edward dał jej kropli na uspokojenie i do snu ułożywszy troskliwie, pożegnał ją przeciągłym pocałunkiem.

A kiedy od jej łóżka na drugą stronę przechodził do swojego, nogi się pod nim zachwiały... i za serce coś go boleśnie ścisnęło...

W godzinę później spali oboje — bardzo wyczerpani szeregiem przejść ostatnich.

W tem głośny brzęk szyb rozbudził ich nagle. Zerwali się z pościeli i przysiedli.

Błysnęło światło.

Jeszcze się nie zoryentowali, że szyby wypadły w werandzie od strony ogrodu, i że przez jadalnię ktoś szedł ku nim — gdy już w pośrodku pokoju sypialnego stanął, jakby z pod ziemi wyrosły, zbir.... w postawie groźnej.

W czapie, na tył głowy zsuniętej, tkwiła krwawą plamą ogromna kokarda czerwona, spływająca na bok czoła.

W wyciągniętej przed siebie ręce błyskał długi rewolwer.

Oboje w tej chwili klęczeli na swych łóżkach, w koszulach, gdy zjawił się zbój w świetle błękitnej ampli.

Iza pociągnęła kołdrę ku piersiom, gdy Edward miał wyskoczyć z posłania i odziewać się pospiesznie, ale już napastnik stał przy nim.

— To ty jesteś.— zawołał, przeszywając go pełnem złości spojrzeniem — to ty — powtórzył.

I w tej chwili padł strzał.... jeden.... drugi.... piąty....

Iza rzuciła się w koszuli ku Edwardowi, który się zwalił na pościel.

Mózg jego oblepił ścianę nad łóżkiem.... a krew ciepła obryzgała Izę.

Po sześciu kulach, wyrzuconych błyskawicznie, zbir odwrócił się ze spokojem i nie spojrzawszy nawet na kobietę, która u jego nóg przed łóżkiem zabitego męża leżała martwa w kałuży krwi, wyszedł do salonu.

Drzwi tylko w pasyi za sobą zatrzasnął.

Tam już towarzysze jego pracowali zawzięcie, więc pospieszył pomagać im w urzędowej rewizyi. Całe mieszkanie poety sprzewracano. W kilku walizach wyniesiono co najkosztowniejsze, resztę zostawiając na później.

Kilku zbirów, gospodarując po pokojach, zachodziło parokrotnie do sypialni, ale każdy, spojrzawszy na Izę, brał ją za trupa i odchodził z powrotem, nie troszcząc się o piękną kobietę w koszuli.

Kiedy się już wszyscy jednak powynosili, ostatni z rabusiów zawrócił, podszedł do kałuży krwi, nachylił się.... i chciał ściągnąć z palców pierścionki...

A wtem zimna ręka Edwarda z trupią sztywnością zsunęła się z krawędzi łóżka i padła na rękę zbója, ściskającą palce Izy.

Przeląkł się tego trupa ruszającego się... i z krzykiem strasznym, porzucając wszystko, uciekł.

Cisza zaległa z powrotem mieszkanie jasno oświetlone i naścieżaj otwarte.

Edward męczył się strasznie.

Patrzał na swego trupa w pościeli krwią zatopionej.... patrzał na mózg oblepiający się po ścianie... patrzał na Izę ukochaną, w kałużach krwi jego martwo leżącą.... i rozpaczał bezradnie.

Chciał się ku niej rzucić i wyciągnąć ją z tej krwawej topieli.... I rąk mu brakło.

Widział tam na łóżku tego trupa, sześcioma kulami podziurawionego, dwie swoje zimne ręce.... i nie mógł nic począć, by dotknąć się żony i zbudzić ją z martwoty.

Chciał krzyczeć i nie mógł.

Tam na łóżku w tej bezkształtnej masie głowy zostały usta, któremi by teraz chciał całować Izę.

Czuł wielki ból... jakiś nowy ból.... jakiś inny ból, którego jeszcze nie przeżywał.

A w tym bólu był żal bezmierny.... i było pragnienie serdeczne powrotu do życia.

Pamiętał wszystko, co było, i widział w tej chwili wszystko, co jest.... i bał się strasznie tego, co będzie....

Wpatrzony w Izę oczyma ducha — zaczął się lękać o jej zmysły.

I naraz przypomniała mu się jakaś noc z przed paru tygodni, tu, w tej sypialni, z nią przeżyta....

Miasto było oblegane. Nieprzyjaciel znajdował się tuż za rzeką i od wieczora można się było każdej chwili spodziewać, że pierwsze straże wkroczą do środka i zaczną się walki uliczne. W obawie tedy przed bezwładną strzelaniną, przygotowywano się z wieczora, jakby najlepiej schronić się przed kulami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Święta Wielkanocne są już poza nami i trzeba przyznać, że sprawiły nam niespodziankę i to daleko przyjemniejszą od genueńskiej. Jeszcze w ubiegłym tygodniu w kronice pisanej przed świętami, wyrażaliśmy przypuszczenie, że ósma Wielkanoc wojenna będzie bardzo smutną i nie przypominającą niczem dawniejszych gorących czasów, które dopiero dzięki wojnie miały uledz naprawie. Pokazało się jednak, że nasze przypuszczenia były z gruntu fałszywe, dziewięćdziesiąt procent bowiem naszego społeczeństwa świętowało tak hucznie, że dzisiaj jeszcze nie mogą szlachetnego zdrowia doprowadzić do równowagi, a w każdym prawie domu pozostało tyle zapasów, iż niemal wszędzie, z obawy, aby się nie zepsuły, urządza się z nich bigos i to, trzeba przyznać, smaczniejszy i strawniejszy od genueńskiego.

Obliczyliśmy, że nie świętowało u nas zaledwie dziesięć procent ogółu, a ci, którzy się w tem położeniu znaleźli, sami sobie muszą przypisać winę, trzeba bowiem było zapukać do drzwi pierwszego lepszego znajomego paskarza lub lichwiarza, a byłoby się i nakarmionym i napojonym, ci bowiem ludzie, trzeba im przyznać, co się im słusznie należy, pamiętali w tym okresie nietylko o sobie, lecz dzielili się chętnie i z bliźnim, satysfakcyę zaś sprawiało im przedewszystkiem to, że mogli mu zaimponować.

Ostatnie dni Wielkiego Tygodnia były też z powodu przygotowań świątecznych nad wyraz ruchliwe. W sklepach korzennych, masarniach, cukierniach, składach wódek, win i piwa panował zgiełk niesłychany, tu i ówdzie spotykało się nawet „ogonki“ i to bardzo nieraz pokaźnych rozmiarów, złożone z oczekujących cierpliwie na swą kolej, byle tylko zapewnić wątłemu ciału tradycyą nakazane przyjemności. A kupcom naszym i przemysłowcom przyznać należy, że rozumieją dobrze swój interes i potrafią wyzyskać należycie każdą sposobność, w miarę też popytu rosły, jak na drożdżach ceny niektórych artykułów i za to, co jeszcze przed południem kosztowało dajmy na to sześćset marek, popołudniu już trzeba było płacić siedmset, wieczór zaś ośmset. Poczciwi ludziska nic sobie z tego nie robili, płacili ile im kazano „lisy“ i „tygrysy“ wędrowały całemi masami z ich kieszeni do kas sklepowych, które stawały się wobec tego podobnemi do menażeryi. A kupiec obliczając wieczorem zarobek, konstatował z zadowoleniem, że wojna światowa ma przecież swoje dobre skutki, wobec czego można przeboleć nawet takie jej przykre następstwa jak danina, podwyższenie ceł i innych opłat, na czem wszystkiem mądra głowa i czułe na niedolę bliźniego serce potrafi zawsze odpowiednio zarobić.

Usposobienie przedświąteczne było zatem bardzo różowe, na rękę ludziom poszła i matka przyroda, darząc ich tak wspaniałą pogodą, jakiej już dawno w święta wielkanocne nie mieliśmy. W Wielką Sobotę podążyły też tłumy na rezurekcyę na Wawel, a stamtąd pod dach domowy, żegnane z barbakanu Władysława IV. przez Kościuszkę życzeniami wesołych świąt. Nie czekając niedzieli, już w sobotę rozpoczęto sobie składać życzenia oczywiście nie na sucho, dalszy ich ciąg nastąpił w niedzielę, poniedziałek i wtorek, w pierwszy z tych dni uwzględniając przeważnie stary Kraków, w drugi Zwierzyniec, w trzeci Podgórze. Jedzono i pito z prawdziwym apetytem, obliczając w duchu, ile to pieniędzy przesunie się przez gardło i każdemu mimowoli przychodziło na myśl, że przecież miał racyę ten, kto powiedział, że wojna światowa stosunki naprawi, bo gdzież kiedy zwykły śmiertelnik mógł sobie przedtem pozwolić na taką libacyę, która obliczona na gotówkę wyniosła kilka tysięcy marek na osobę. Jasny to zatem dowód, że dzięki wojnie wzbogaciło się nasze społeczeństwo, czyli, że cel jej został w pełni osiągnięty. Przy tej sposobności omawiano też i sytuacyę polityczną, a pierwsze miejsce zajmowała wszędzie konferencya genueńska, której zadaniem odbudowa Europy i doprowadzenie jej do stanu bodajby takiego, jaki był przed wojną. Wyrażano z różnych stron nadzieję, że do tego tak rychło nie dojdzie, ci, którzy tak utrzymywali, przewidywali widocznie, że podobnie usposobieni są panowie Cziczerin i Rathenau i że przygotowują światu niespodziankę, jakiej się nawet Lloyd George nie spodziewał, choć to on sam dostarczył mąki na ten chleb, który teraz ma zjeść Koalicya. Na szczęście o sojuszu sowiecko-niemieckim, zawartym w Rapallo, dowiedzieliśmy się dopiero po świętach, nie wpłynęło to zatem ujemnie na tok zabawy, która wykazała, że w Polsce dzieje się widocznie dobrze, skoro ludzie są tak ze siebie zadowoleni.

Jeśli obliczyłoby się na gotówkę wszystko to, co w czasie świąt zniknęło w czeluściach żołądków, pokazałoby się, że przejedzono i przepito w całej Polsce nie miliony, lecz miliardy, skoro zaś tak było, to jasny dowód, że one są, czyli, że dzięki wojnie wzbogaciliśmy się tak, jak nigdy przedtem. Ta drobna część, która majątku nie zrobiła, również sama sobie tylko winna, robił go bowiem każdy inny, mogły go robić i oni, nie powinni zatem narzekać, bo nie los z nimi obszedł się po macoszemu, lecz oni sami ze sobą. Słusznie powiedział pewien praktyczny filozof nowego pokroju, że na wojennych stosunkach nie dorobił się majątku tylko ostatni niedojda, każdy bowiem inny potrafił uszczknąć cośkolwiek dla siebie i to bez potrzeby narażania się na większe niebezpieczeństwo, bo jak statystyka urzędowa wykazuje paskarzy i lichwiarzy zaledwie jeden na dziesięć tysięcy niepokojony był przez władze, a i tych dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procent wychodziło obronną ręką z opresyi, owe zaś pół procent tworzyły przeważnie same drobne rybki lichwiarsko-paskarskie, którym konflikt z kodeksem karnym nie sprawił zbytniej przykrości nie zaszargał zbyt ich honoru.

W Poniedziałek Wielkanocny pociągnął Kraków, korzystając z wspaniałej pogody i prawdziwie letniego ciepła na pierwszą zamiejską wycieczkę, tj. na „Emaus“, odbywający się na Zwierzyńcu. Ponieważ dzielnicę tę zamieszkuje przeważnie ludność pracująca fizycznie, a ta dzisiaj jest najlepiej sytuowaną, kto miał tam znajomego i odwiedził go, z pewnością tego nie żałował. Jeść i pić było wszędzie w bród, a najbardziej z tego radowali się aptekarze, którzy w ostatnich czterech latach narzekali ogólnie na zupełny zastój w okresie poświątecznym. W tym roku na szczęście zaszła zmiana na lepsze, ruch w aptekach przez cały tydzień po świętach był nadzwyczaj ożywiony, staropolska cnota gościnności zrobiła swoje, zdrowie trzeba było naprawiać. Na to jednak nikt z cierpiących nie narzekał, uważając, że jest to tylko znak widomy, iż w czasie świąt nie próżnował, a i po świętach nie zapomniał także, aby znajomym dopomódz przy uprzątaniu resztek darów Bożych w obawie, iżby się nie zmarnowały. Późnym wieczorem wracali Krakowianie ze Zwierzyńca pod swe rodzinne dachy, ponieważ zaś był to „poniedziałek oblewany“, nic w tem dziwnego, że wiele spotykało się kompletnie „zalanych“.

Wtorek jest właściwie rodzajem półświęta, przedpołudniem trzeba bowiem oddać się swym zawodowym czynnościom, t. j. będąc urzędnikiem, odwiedzić biuro, nietyle w celu załatwienia jakiejś czynności, gdyż do tego nikt niema ochoty, ile raczej, aby sobie pogadać z kolegami i dowiedzieć się, jak spędzili święta. Z biura wychodzi się wcześniej niż zwykle i ciągnie się prosto do knajpki, w której nie było się przez dwa dni, potem do domu na obiad, a właściwie na barszczyk, ugotowany na kości ze szynki, popołudniu zaś wycieczka na Podgórze, na obchód Rękawki.

W roku bieżącym obchodzono ją bardzo hucznie i wesoło, również przy wspaniałej pogodzie. Pokazało się, że niema racyi twierdzenie owego meteorologa, który utrzymywał, iż, ilekroć katolicka Wielkanoc spotka się z żydowską, tyle razy musi być deszcz. Tak bywało może dawniej, przed laty, dziś jest zupełnie inaczej. Świętowaliśmy równocześnie i obeszło się bez deszczu, który spadł dopiero we środę, aby wyręczyć Zakład czyszczenia miasta przy porządkowaniu ulic, które przedewszystkiem w okolicach, dotkniętych Emausem i Rękawką pozostawiały pod względem czystości bardzo wiele do życzenia. Niektórzy są zdania, że pogoda w tegoroczne święta żydowskiej Paschy jest następstwem postanowień traktatu wersalskiego, biorącego w obronę prawa mniejszości narodowych i wyznaniowych.

Co było powodem, to zresztą mniejsza, faktem jest, że mieliśmy pogodę, a to ważniejsze. Wobec tego udała się i Rękawka, a na chlubę obywateli Podgórza dodać się musi, że i oni nie sprzeniewierzyli się staropolskim tradycyom, lecz poszli w zawody o lepsze ze Zwierzyńczanami i krakowskich gości przyjmowali tak serdecznie, że i w ten dzień kroniki policyjne zanotowały bardzo wiele wypadków „zalania“, a kilku „powodzian“ w braku innego pomieszczenia internować musiano pod „Telegrafem“.

Największą atrakcyę Rękawki stanowiły igrzyska Olimpijskie, o których wspominaliśmy w poprzednich kronikach. Przyznać się musimy, że informacye nasze co do nich, choć czerpane z najlepszego źródła, były poniekąd fałszywe, a to przedewszystkiem z tego powodu, że Magistrat krakowski udzielił na urządzenie ich nie, jak donosiliśmy, dwadzieścia tysięcy marek subwencyi, lecz dwieście tysięcy, pozatem nagrody dla zdobywców mistrzostwa Krzemionek, t. j. dla wspinających się na słup, stanowiły nie szynka, trzewiki, ubranie i t. d., ale gotówka, t. j. po tysiąc marek dla każdego. Wobec tego nawet inteligenci, którzy mieli zamiar tłumnie zgłosić się do wzięcia udziału w zawodach, zrezygnowali z tego, twierdząc, iż nie opłaci się skórka za wyprawę. I mieli racyę, jeśli się zważy, że dzisiaj jeden „lis“ równa się wartością niecałej austryackiej ś. p. koronie, a za taką marną kwotę, nie miał nikt ochoty narażać się na uszkodzenie dolnych części garderoby, przedstawiających się na ogół dzisiaj bardzo niewyraźnie. Nie było zatem obok słupa na Krzemionkach w tym roku zbyt wielkiego ruchu. Ci bowiem, którzy dawniej próbowali tutaj szczęścia, zajmują obecnie stanowiska społeczne, nie pozwalające im na coś podobnego, ich następcy w ostatniej chwili zawiedli. Zabawa jednak na ogół była bardzo ochocza, Podgórzanie nie sprzeniewierzyli się bynajmniej dawnym tradycyom, a zarzuty jakie im czyniono, że względem Krakowian okazują nieufność, okazały się bezpodstawnymi.

Kto należał do wybranych po Rękawce mógł wziąść udział w raucie, wydanym na cześć ministra skarbu dra Michalskiego, przez Izbę Handlową w Krakowie. Zebrali się w jej salonach przedstawiciele naszej finansyery, przemysłu, handlu, paska i lichwy, a wartość obecnych obliczył jeden ze znawców na 976 miliardów marek. Nastrój był oczywiście bardzo poważny, bo i jakże mogło być inaczej, gdy się znalazły obok siebie same takie grube ryby... Tu i ówdzie przewijał się wprawdzie między nimi jakiś kiełbik, ale zwracano nań jednak najmniejszej uwagi, co najwyżej byłby go może zapytał któryś z uprzywilejowanych uczestników w popularny sposób: „kajś ta wlazł?...“ Pan minister miał sposobność stwierdzić na własne oczy, że Krakowianie, zwłaszcza z pośród tych sfer, z któremi zetnął się w Izbie Handlowej, na fantazyi nic nie stracili i nie znać na nich bynajmniej fatalnych następstw wojny.

Szczęśliwie zatem skończył się wtorek, z nim zaś także i święta wielkanocne we właściwem słowa tego znaczeniu. Pozostało po nich jedynie przyjemne wspomnienie i, jak się wyżej rzekło, bigos, tem się różniący od sprzedawanego w handlach i restauracyach, iż nie zawiera pozostałości z całego tygodnia, lecz resztki ze święconego, zatem żołądkowi zaszkodzić nie może, a przynajmniej nie powinien. Tym bigosem karmi się wiele rodzin aż do niedzieli przewodniej i poniedziałku, kiedy mieszkańcy Kleparza urządzają święcone, na tem zaś kończy się już naprawdę Wielkanoc i następuje powrót do zwykłych, codziennych zajęć.

Pozbywszy się kłopotów świątecznych, mamy więcej czasu do zajmowania się polityką, a tematem rozmów są oczywiście niespodzianki genueńskie, zgotowane przez Niemców i bolszewików. Łamią sobie ludziska głowy nad tem, czy konferencya się rozleci jeszcze przed powzięciem jakichś uchwał, czy też je powźmie, aby potem odpoczywały spokojnie w biurkach dyplomatów, czekając cierpliwie aż się znajdzie ktoś, kto chciałby się do nich zastosować. Przy budowie biblijnej wieży Babel pomięszały się pracującym języki, w Genui stało się to z pojęciami wiecowników, a odbiło się nie tylko na politykach, lecz także i na dziennikarzach bo oto jeden z naszych wielkich sprawozdawców ujrzał nagle Genuę „śpiącą nad modrym Adryatykiem“, a spostrzeżeniem swem podzielił się z czytelnikami, którzy poznali z tego, jak fatalnie traktowano u nas dawniej geografię, gdy uczono, że Genua leży nad Zatoką Liguryjską, a Wenecya nad modrą Adrią.

Wobec tego kronikarz jest bardzo zadowolony, że się na konferencyę nie wybrał, byłby bowiem z pewnością zabłądził w drodze i nie dojechał na miejsce przeznaczenia.

Z powodu wystąpienia w Genui Niemców i bolszewików wielka Koalicya znalazła się w niemałym kłopocie, a Lloyd George klął podobno jak prawdziwy szewc. Sytuacyę ratuje natomiast mała Koalicya i Polska, a ministrowie Skirmunt i Benesz wysunęli się na pierwszy plan. Minęły święta wielkanocne, minęła także Pascha wielkich finansistów, uspokoją się zatem może powoli i umysły, a konferencya będzie mogła przystąpić do swego właściwego porządku dziennego, choć jak się słusznie ktoś wyraził, prochu z pewnością nie wynajdzie, gdyż kto inny dawno już tego dokonał.

delegacyi zaprzyjaźnionych dworów i tłumu ciekawych odbył się w Funchal pogrzeb byłego cesarza Austryi i Króla Węgier, Karola Habsburga. Patrząc na ten skromny orszak żałobny, kroczący poważnie z willi, w której w ostatnich czasach rodzina cesarza-wygnańca zamieszkiwała, do kościoła, a następnie na cmentarz, nikt nie przypuściłby nawet, że trumna ta kryje w sobie zwłoki władcy wiele milionów ludów, ofiary losu, wypadkami wojennymi zagnanej na tak odległą od jego ojczyzny wyspę Oceanu Atlantyckiego. Po krótkiem, ale burzliwem życiu spoczął tutaj były cesarz Austryi, prawdopodobnie nie na wieki, gdyż śmiertelne szczątki jego, skoro okoliczności na to pozwolą, mają być przewiezione do rodzinnego kraju i złożone w grobowcach rodziny cesarskiej u Kapucynów we Wiedniu, lub też w Budapeszcie, na tej ziemi węgierskiej, która najdłużej wierną pozostała swemu królowi i gdyby nie sprzeciw mocarstw sprzymierzonych, przedewszystkiem zaś najbliższych sąsiadów, chętnie byłaby go widziała z powrotem na tronie św. Szczepana.

Historya niewiele mieć będzie trudu z ocenieniem działalności Karola Habsburga jako władcy Austryi i Węgier, zbyt krótko bowiem panował, a kielich goryczy, który wysączyć mu przyszło do dna, przygotowała dlań ręka jego poprzedników, a za jego krótkich rządów dopełnili go jego niefortunni doradcy. Szczególniejszemi zaletami lub wadami Karol Habsburg się nie odznaczał, nie miał zresztą czasu ani sposobności, aby je bliżej światu okazać, był to człowiek zupełnie przeciętny, może i nie zły, lecz pozbawiony silnej woli i dający się powodować innym, a na swoje nieszczęście nie umiejący wybrać tego, co mogło być dla niej korzystnem. Ta jego słabość charakteru przyspieszyła koniec byłej monarchii habsburskiej, a przygnębienie tem wywołane, skróciło też i pasmo dni jego żywota. Zeszedł z tego świata prawie zupełnie zapomniany, a zgon jego dał sposobność tym jego rzekomym przyjaciołom, którym Habsburgowie w ostatnich czasach się wysługiwali, sposobność do zwalenia nań odpowiedzialności za klęskę, przez nich samych przygotowaną.

Robotnicy częstochowscy przeciw drożyźnie.

Fala drożyzny zataczająca coraz szersze kręgi, utrudnia z każdym dniem życie wszystkich tych, którzy zmuszeni są utrzymywać siebie i rodziny ze stałego zarobku, rosnącego wprawdzie także, ale bynajmniej nie w tej mierze, aby módz zaspokoić swe najpierwsze potrzeby. Robotnicy i urzędnicy, to dzisiaj klasy najnieszczęśliwsze, wydane na pastwę paska i lichwy, którym żadna siła kresu położyć nie jest w stanie. Władze państwowe czynią co mogą, w ślad za niemi idą instytucye prywatne, obmyśla się środki zaradcze, tworzy kooperatywy, spieszy się ze wszystkich stron z pomocą, wszystkie te zabiegi jednak to kropla, ginąca w tem morzu drożyzny, zalewającej kraj cały.

Częstochowa i jej najbliższa okolica, to okręg, należący do najbardziej w kraju uprzemysłowionych, a zatem i najgęściej zaludnionych, nic też w tem dziwnego, że drożyzna daje się tutaj jeszcze bardziej we znaki, niż gdzieindziej, ponadto walczyć się musi z ciągłym brakiem najważniejszych artykułów, bez których trudno się obejść, a nie można ich nabyć, choćby się je nawet i przepłacało.

Doprowadzone tym stanem rzeczy do ostateczności masy robotnicze, postanowiły upomnieć się o swe prawa i na podstawie uchwały, powziętej na zebraniu w „Ognisku Robotniczem“ urządziły w dniu 12 kwietnia b. r. dwugodzinny strajk manifestacyjny na znak protestu przeciw rosnącej z dnia na dzień drożyźnie. Pozatem strajk manifestacyjny miał na celu omówienie z właścicielami fabryk nowych norm zarobkowych stosunkowo do podrożenia artykułów pierwszej potrzeby. W dniu tym o godzinie 12 w połnodnie rozległy się przeciągłe gwizdy syren fabrycznych, ogłaszające strajk manifestacyjny. Wszystkie fabryki w mieście stanęły, robotnicy zaś zgrupowani w polskich związkach zawodowych Narodowej Partyi Robotniczej, związkach zawodowych P. P. S., oraz w związkach klasowych, wzięli udział w pochodzie manifestacyjnym przez ulice miasta, na znak wspólności interesów klasy robotniczej, która potrafi występować zgodnie, gdy chodzi o polepszenie bytu materyalnego robotnika.

Specyalnie wybrana z pośród grona robotników delegacya, wręczyła staroście powiatu częstochowskiego p. Kazimierzowi Kuhnowi memoryał, w którym robotnicy powiatu częstochowskiego żądają wszczęcia akcyi przeciw obecnej drożyźnie i, jak ostatnio oświadczył naszemu korespondentowi poseł Piekarski, rozumiejąc także ciężkie położenie materyalne urzędników państwowych żądają w nim zaliczenia Częstochowy do miast pierwszej kategoryi płac. Starosta przyjął delegacyę bardzo życzliwie i z balkonu gmachu starostwa przyrzekł zebranym robotnikom w liczbie kilku tysięcy, jaknajdalej idącą pomoc celem zwalczenia drożyzny.



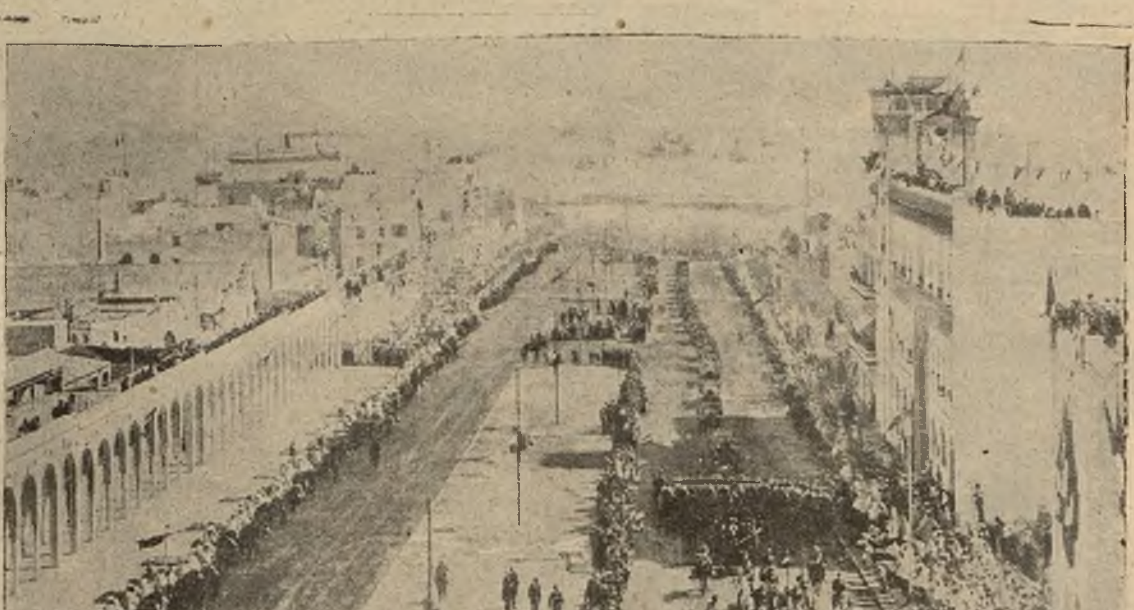
Robotnicy częstochowscy przeciw drożyźnie: Tłumy strajkujących przed budynkiem Starostwa w Częstochowie



Robotnicy częstochowscy przeciw drożyźnie Grupa uczestników z pochodu manifestacyjnego.

Z podróży prezydenta Francyi do Marokka.

Jak już donosiliśmy w poprzednim numerze naszego pisma, prezydent Millerand wybrał się w początkach kwietnia na pokładzie krążownika „Edgar Quinet“ do Afryki Północnej celem zwiedzenia Marokka, Tunisu i Algeru. Wizyta ta, na oko zupełnie niewinna i podyktowana jedynie względami grzeczności i wdzięczności wobec swych afrykańskich sojuszników, nie jest pozbawioną głębszego znaczenia, ma bowiem za zadanie jeszcze silniejsze niż dotąd utrwalenie wpływów francuskich wśród rasy żółtej i to właśnie w chwili, gdy w zachodniej części Marokka szerzy się powstanie przeciw Hiszpanom, nieco dalej zaś na wschód, w Egipcie, Anglicy zgodzić się musieli na usamodzielnienie tego kraju, dotąd stanowiącego angielską kolonię. Ta polityka francuska, tak odmienna od angielskiej, ma też i swoje dobre skutki. W czasie podróży swej po północnem wybrzeżu Afryki prezydent Millerand miał się sposob-



Z podróży prezydenta Francyi do Marokka: Uroczyste przyjęcie prezydenta Millerands po wylądowaniu w Casablanca.

ność przekonać na własne swoje oczy, że nawet w Marokku, które w stosunku z Francyą pozostaje najkrótszy czas, wpływy francuskie są bardzo silne, dobrobyt kraju wzrasta, a kraj się zwolna europeizuje, Francuzi zaś cieszą się ogólną sympatyą, której bynajmniej nie wyzyskują dla jakichś egoistycznych liczyć z tej strony na skuteczną pomoc, z której korzystała już w ciągu wojny światowej.

Dowodem sympatyi, jaką Francuzi cieszą się w Marokku, był szereg przyjęć i uroczystości, urządzonych na część prezydenta Milleranda tak przez sfery oficyalne marokkańskie oraz tamtejszych no-



Z podróży prezydenta Francyi do Marokka: Powitanie prezydenta Milleranda przez sułtana Marokka Moulay Youssefa w Rabat. Obok Milleranda rezydent francuski jen. Lyautey i dwu tłómaczy.

celów, jak to czynią wszędzie Anglicy. W Marokku rządzą też właściwie Francuzi, a sułtan zadowala się tą resztką władzy, jaka mu pozostaje z łaski francuskiego rezydenta.

W chwili, gdy Anglia potrafiła sobie zupełnie zrazić żółty Wschód, Francya na każdym kroku stara się uzyskać jego sympatye i, trzeba przyznać, udaje się jej to w zupełności. Muzułmanie uważają Francuzów nie za swych ciemiężców, lecz za swych przyjaciół, Francya spogląda zatem z otuchą w przyszłość, mogąc, w razie jakiegoś nowego konfliktu tablów, pomijając już owacyjne przyjęcie, jakie go spotkało ze strony licznej tamtejszej kolonii francuskiej. Francuskiego gościa wyróżniano na każdym kroku, a podróż jego po Marokku miała zupełnie inny charakter, niż prawie równoczesna księcia Walii po Indyach. Podczas wizyty, jaką sułtan Marokka złożył Millerandowi i rewizyty tegoż, przy pomocy tłómaczów wygłoszono przemówienia, pełne słodyczy i zapewnień przyjaźni, podyktowane niewątpliwie częściowo grzecznością, ale mające swe uzasadnienie także i w uczuciu prawdziwej wdzięczności Marokka dla Francyi, której wiele zawdzięcza, tej ostatniej zaś nie brak także powodów do podobnych uczuć.

Dwudziestopięciolecie żywieckiej „Przyjaźni".

Instytucya „Przyjaźni", stowarzyszenia opartego na zasadach czysto katolickich, a grupującego wszystkie sfery, rozwinęła się w naszym kraju bardzo pomyślnie. Celem jej krzewienie ducha religijnego i narodowego przedewszystkiem w niższych sferach społecznych, dla których jest głównie przeznaczoną, grupowanie ich pod wspólnym sztandarem, szerzenie oświaty i dostarczanie pożytecznej a uczciwej rozrywki.

W całym szeregu miast dawnej Galicyi powstały „Przyjaźnie", a rozwój ich widoczny był z każdym niemal rokiem. W życiu politycznem naszego kraju odegrały niejednokrotnie ważną rolę, w czasach wojennych położyły niemałe zasługi, dokładając starań o ułatwienie materyalnego bytu swych członków.

Żywiecka „Przyjaźń", powołana do życia przed dwudziestu pięciu laty, obywatelstwu tamtejszemu oddała nieprzmierne usługi, ćwierćwiekowy jej jubileusz, który przypadł na rok bieżący, obchodzono też bardzo uroczyście w drugi dzień Świąt Wielkanocnych przy licznym udziale członków, zaproszonych gości i pokrewnych stowarzyszeń miejscowych i okolicznych.

Wczesnym rankiem muzyka „Żywiecka Harmonia" obeszła miasto, o godz. 9 odbyła się uroczysta msza w kościele św. Krzyża, poczem ruszył ulicami miasta pochód, w którym wzięły udział liczne zamiejscowe korporacye związków zawodowych, jak i Straże pożarne Żywiecka, Zabłocia i okolicy, weterani wojsk polskich itd. ze swymi sztandarami. Pochód stanął przed pomnikiem Grunwaldzkim, a stąd ruszył do „Sokoła", gdzie odbył się wspólny obiad. Przemawiał podczas obiadu ks. kan. Trzopp Mich., prezes „Przyjaźni", podnosząc znaczenie organizacyi i nawoływał do zgody, łączności i wspólnej pracy w naszej ojczyźnie. Nastrój panował bardzo serdeczny. — Obiad zakończyła uroczystość dekorowania wstęgami pamiątkowemi sztandarów, przybyłych korporacyi, poczem odbyła się wspólna fotografia. Wieczorem odegrano siłami amatorskiemi członków „Przyjaźni" „Trzy narzeczone" przy wypełnionej sali, a po przedstawieniu bawiono się przy dźwiękach muzyki „Harmonii" do białego rana.



Dwudziestopięciolecie żywieckiej „Przyjaźni": Członkowie Towarzystwa wraz z gośćmi obchodu jubileuszowego. Fot. R. Homa, Żywiec

Z TEATRÓW

Czy pamiętacie Państwo „Porwanie Sabinek“ niemieckiego pisarza Schönthana? Jest tam sytuacya taka, że pewien prowincyonalny profesor (filolog! — za przeprosseniem) począł i porodził sztukę „klasyczną“ na temat historyczny porwania Sabinek. Dyrektor wędrującej trupy teatralnej sztukę tę grać postanawia... Jest wieczór premierowy... Grają



Z Teatru: P. Helena Schupp-Skrzyszowska art. oper. Ostatnia kreacya w „Gasparone“ (Teatr Opera). Fot. art. „Studio“.

akt pierwszy, drugi — publiczność wyje, gwizda, mimo to sztuka osiągnęła sukces i zrobiła kasę. Co się stało? Oto żona dyrektora teatru, mądra pani dyrektorowa, widząc, że sztuka „leci“ — po pierwszych dwóch aktach „Porwania Sabinek“ wstawiła jako ciąg dalszy akty z „Pięknej Heleny“... Publiczność opuściła teatr zachwycona, profesor, jako autor zyskał sławę, wieńce etc... Coś podobnego było z „Szałem“ p. Krzywoszewskiego... Co akt — to gorzej, tu i ówdzie dały się nawet na widowni słyszeć przeciągłe gwizdy (rzecz w „Bagateli“ jeszcze nie zadomowiona!), gdy wtem dyrekcya teatru wpada na genialny koncept zaproszenia z nocnej kawiarni „Odrodzenie“ pary baletników, która z takim tupetem i nożami w ręku odtańczyła kozaka, że, pomijając podziurawiony tymi nożami dywań i łzy właściciela — wszyscy byli zachwyceni i sztuka w scenie tańca uzyskała nawet sukces!! A czego w tym „Szale“ niema!? Jest socyalista i konspirator Kurak (rzecz grozi „Tamtym“ Zapolskiej!), jest bunt panny Mery przeciw babce hrabinie (phi, sprawa trąci tragedyą — „rodów!“), jest polowanie na kozły i głupi Moskal, który poszukiwanemu przez się Kurakowi daje przepustkę do Krakowa (sic!!), jest dalej ta sama panna Mery, która ma aż trzech mężczyzn, ale żadnemu... to jest... ona sama nie wie, któremuby... acha, wybucha także wojna w 1914 i Kurak krzyczy: „będzie Polska“, jest także prałat, który lubi kuropatwy, jest rewolwer strzelający i riwiera francuska... Szkoda, szkoda doprawdy interesującej tylko gry artystów jak np. p. Zbuckiego (Moskal, naczelnik straży)...

Już od beznadziejnego „Szału“ lepszy cośkolwiek „Dyabeł i kaczmarka“ również p. Krzywoszewskiego, lecz i tu się bardzo dziwimy dyrekcyi teatru im. J. Słowackiego, że sztukę tę, z przed wojny jeszcze znaną, obecnie wznowiła... Jej tematem, ta teza, że w Polsce to „nawet dyabeł dyabłu szyje buty“, wskutek czego dyabeł Rożnik nie zdołał zbałamucić dla siebie ładnej wdówki Katarzyny. Dobrze ją zagrała pani Żmijewska, starająca się skutecznie ratować sztukę z pomocą pp. Szymańskiego (Rożnik), Kusiowskiego (chłopiec), Szymborskiego (Wojciech, stróż) i Miarczyńskiego (Kuternoga).

Jeśli nie można wiele powiedzieć o powyższych utworach, a słuchało się ich z niemałą przykrością (zwłaszcza „Szału“), to natomiast wystawiona w teatrze im. Słowackiego sztuka Belgijczyka Gustawa Vanzype'a p. t. „Siejba“ bardzo się do dyskusyi nadaje i mimo kilku załamań w budowie jest całkiem interesującą i ciekawy omawiającą problem. Chodzi w niej o atmosferę duchową, jaką wytworzyła wojna, chodzi o zmianę, jakiej dokonała ta epoka w duszach ludzkich. I oto widzimy — rzecz istotnie dziwna a piękna! — że pessymiści i egoiści — bankrutują w swoich ideach i zasadach... Widzą taki ogrom cichego bohaterstwa, wszechludzkiego bólu i poświęcenia, że uważają się za mało ważkie, przekreślone jednostki nie rzadko pasożytnicze! I w tem tryumf wojny, ta dobra „siejba“ krwi i łez. Pysznie w tej sztuce grali p. Adwentowicz (Ferruel), p. Sosnowski (Hevclair), a zwłaszcza p. Bednarzewska (Pani Hevclair). Bez pani Bednarzewskiej trudno sobie dziś ai pomyśleć w Krakowie wielu sztuk. Gra jej pełna namaszczenia, delikatna a głęboka w rysunku, zachwyca każdego; za pomocą bardzo umiarkowanych środków umie p. Bednarzewska pokazać najstraszliwsze i najbardziej przejmujące cierpienia ludzkiej duszy..

Dajmy na chwilę pokój dramatowi; wszak nie wesoło na świecie, źle i biedno, słońca nam jeszcze brak!! A że go niema na niebie, więc trzeba poszukać bodaj w teatrze, na scenie... zatem, kto łaskaw, niech idzie do teatru Opera na „Gasparone“ (operetka K. Millöckera), a wśród tych pochmurnych dni zazna bodaj przez trzy godziny trochę blasku włoskiego nieba, pogody i niefrasobliwości sprytnych Syrakuzańczyków i złotego humoru występujących artystów. Nacieszy się przedewszystkiem grą i śpiewem p. Schupp Skrzyszowskiej (hrabina Santa Croce). Artystka to wielkiej skali i w najwykwintniejszych operetkach, jak u nas — wprost nie do zastąpienia. Na scenie naprzód wygląda tak uroczo, że stanowczo p. Stępniowski do tej kochanej wdówki za mało ognişcie się zabierał... Gra jej pełna dystynkcyi i kultury, głos bezwzględnie czysty i piękny. Nic dziwnego, że i inni z grających dostrajali się do głównej bohaterki. P. Lelewicz (podesta), p. Rewski (jego syn), p. Korabianka (Sara), p. Zimajerowa (przewyborna), p. Minowicz (Benazzo) dawno nie mieli tak szczęśliwych chwil, jak w „Gasparone“. Dyrekcyi za wznowienie tej śpiewnej operetki należy się żywe uznanie... Co począć na to, kiedy niektóre rzeczy im starsze, tem lepsze??... Niejeden pan i niejedna pani z dużym sentymentem słuchała barwnej muzyki... Jakieś westchnienia... wspomnienia... uśmiech dobrotliwy... Hej!... *b—r*



Z Teatrów: P. Konst. Bednarzewska art. dram. Teatru im. Słowackiego. Ostatnia kreacya w „Siejbie“. Fot. art. Kuczyński.

NADESŁANE.

W wyższej uczelni
STRÓJ
rozpoczynają się
KURSA
KROJU i SZYCIA
od 1 maja b. r.
Kraków, Szczepańska 7. I. p.



AKCJE
oraz wszelkiego rodzaju papiery wartościowe wykonują po cenach konkurencyjnych
ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC RYNGRAF
Kraków, ul. Sławkowska Nr. 11. Kraków, ulica Krupnicza Nr. 6.
Telefon Nr. 1102 (a—b).
Druk-Lito-Foto-Cynko-Negro-grafia, Nakłady Etykiety-plakaty.
Własna Introligatornia uruchomiona.

Pracownia kapeluszy damskich
„ANTONINA“
Kraków, ul. Floryańska L. 13. I. p.
(w podworcu)
poleca kapelusze damskie i oryginalne modele w wielkim wyborze — oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres modniarstwa wchodzące
po nader przystępnych cenach.

!! Na sezon wiosenny i letni !!

Nie przepłacajcie! Kupujcie tylko z pierwszych rąk!
Nie przysłuchujcie się opowiadaniom o zwyżkach.

Zakupiwszy duży transport materyałów bezpośrednio z fabryki, robiąc duże obroty handlowe, mamy możność przez czas ograniczony wysyłać każdemu pocztą za zaliczeniem po cenach hurtownych: 3 m. pełnej szerokości najnowszego eleganckiego materjału (czysta wełna) w dobrym gatunku, bardzo trwałego i efektownego w drobniutkie krateczki, o wyrobie jedwabno miękkim, niezbędnym dla każdego z Panów lub Pań, którzy pragną zaopatrzyć się na sezon wiosenny i letni w eleganckie ubranie lub kostjum. Kolory: granatowy, zielony, bronzowy, szary, popielaty, wiśniowy, melangé i kowerkot. Za 3 metry 8.100 Mk., na damski kostjum 3½ metra 9,400 Marek.
Materjał wyższego gatunku B. lepszych fabryk gwarantowanej jakości za 3 metry 10.800 Marek, za 3½ metra 12.500 Marek.

Materjał specjalnie na lato.

Materjał najwyższego gatunku C. angielskie desenie najmodniejsze. Cena za 3 m 14.700 Mk., 3½ m. 16.500 Mk. (Wszędzie ten materyał sprzedawany po 7–8 tys. za m.

Podszewki i dodatki do ubrań.

Do każdego odcinka na ubranie dodajemy na żądanie zamawiającego pełny komplet podszewki pod marynarkę, kamizelkę, spodnie, do rękawów i kieszeni za 2.900 Mk. Taki sam komplet B. w lepszym gatunku 3.600 Mk. i najwyższy C. (ang. satyna) 5000 Mk.

NA PALTA DEMISEZONOWE

Materjał „Demi" na palta męskie wiosenne lub jesienne w najmodniejsze kolory jasne lub ciemniejsze (oprócz czarnego) kraty po lewej stronie (bez podszewki). Praktyczne i niezbędne dla każdego, który pragnie zaopatrzyć się w eleganckie palto demisezonowe. Cena za metr 6.000 Mk., gatunek II. 7.000 Mk., gatunek III. 8.000 Mk. za 1 metr. (Na palto takie potrzeba 2 i pół metra).
NA LATO!! NADZWYCZAJNA OKAZJA!! Oryginalne angielskie palta nieprzemakalne dla mężczyzn i kobiet, materyał nadzwyczaj trwały, uszyty podług najnowszej mody, sprzedawane wszędzie po Mk. 25000, u nas 17500 Mk.
Również wysyłamy znajdujące się u nas na składzie kupon na spodnie eleganckie gładkie lub w krateczki po 3.000 Marek, i po 4.000 Marek.
Kupon na spodnie czysto wełniane, czarne tło z paseczkami i (do ubrań wizytowych) po 4.800 Marek. i po 6 000 Marek.
Kupon na letnie męskie i damskie płaszcze w najmodniejszych kolorach i angielskich deseniach Marek 10.100.
Sztuczki na damskie spódnice w najmodniejsze kraty lub pasy, również gładkie i we wszystkich kolorach — po 3.200 Marek.
Sztuczki na bluzki w najmodniejsze desenie i kolory po 2.200 Mk.
Sztuczki specjalne na letnie suknie „Tenis" pikowy wyrób w paski czarne, lila, bronzowe i niebieskie 4.800 Marek.



Szewioty (damskie) najlepszego wyrobu, zastępujące w zupełności angielskie materjały, podwójnej szerokości na suknie i kostjumy letnie po 1.850 Mk. za metr we wszystkich kolorach.
Chustki w najmodniejsze kraty, najładniejsze desenie rozmiar 165×165 cm. po 2500 Marek., wyższego gatunku 4.000 Marek., większego rozmiaru 6.000 i 7.000 Marek za sztukę.
Płócienka i zefiry kolorowe i białe w najnowsze desenie na koszule Słowackiego, fartuchy i dziecinne ubranka, i t. p. po 575 Mk. za metr.
Kołdry tak zwane pluszowe w dobrym gatunku po 4.000, 6.000 i 9 000 Mk. za sztukę.
Gotowe dzienne, letnie koszule męskie z mankietami z dobrego zefiru w najmodniejsze deseniepo 1900 Mk. za szt., ½ tuz. 11.100 Mk., 1 tuz. 22.000 Mk.
Takie same z francuskiego zefiru cena za 1 sztukę 2.500 Mk., ½ tuz. 14.000 Mk. 1 tuzin 27.500 Mk. wszystkie kolory.
Koszula nocna po 1.800Mk., 2,000 Mk. i 2,500 Mk. (Stosunkowo do gatunku) Kalesony męskie po 1.600 Mk., 1.900 Mk. i 2.200 Mk. za sztukę.
Wysyłamy natychmiast bez zadatku pocztą za zaliczeniem (płaci się przy odbiorze). Za opakowanie i przesyłkę dolicza się 600 Mk. (Niezależnie od sumy zamówienia).
Bez wszelkiego ryzyka! Kupujący nic nie ryzykuje gdyż, jeśli towar się nie spodoba, takowy przyjmujemy z powrotem i zwracamy pieniądze.

Zamówienia prosimy adresować: **Do składu Warszawskiej Spółki Manufakturowej Warszawa, Złota 21. (Telefon 171-28)**
P. P. przyjeżdżających do Warszawy, uprzejmie upraszamy o odwiedzenie naszego składu i osobiste przekonanie się co do gatunku towarów i cen.

Otrzymujemy codziennie dużą ilość podziękowań od naszych Pp. Klientów za wystany towar i powtórne zamówienie, wobec braku miejsca podajemy tylko kilka z nich.
Szanowny Panie! Serdecznie dziękuję za otrzymany towar. Jestem bardzo zadowolony z tego towaru i łaskawie proszę mi przysłać jeszcze ten sam towar dla kolegi i również jeszcze u Panów zamówią inni i t. d Ludwik Sanetra Sucha Małopolska.
Sz. P. Materjał otrzymałem, z którego jestem zadowolony i składam Panom serdeczne podziękowanie, Michał Obrzytowski, Zakopane, Senatorjum Czer. Krzyża, 10/3 1922.
„Do Warsz. Spółki Manufaktur". Przesyłkę otrzymałem. Z materjału przesłanego przez Panów jestem w zupełności zadowolony, na dowód czego upraszam o najrychlejsze przesłanie jeszcze raz tego samego materjału gatunku B. Z poważaniem Stanisław Gebel nauczyciel Piaski Luterskie, Ziemia Lubelska.
Szanowny Panie! Materję otrzymałem dn. 18/3 22 r., za którą bardzo dziękuję bo nie spodziewałem się że taką materję dostanę od Sz. P. Z poważaniem Bartl-Karpiński, maszynista Bronowice Wielkie 19/3 22 r., (dalej następuje zamówienie na rozmaite towary).
W. P.! Za otrzymaną materję dziękuję, z której jestem bardzo zadowolony i proszę jeszcze raz przysłać takiej samej materji 5 m. i również 3½ m. na kostjum damski, w przyszłości zamówię jeszcze dużo towarów. Jeszcze raz dziękuję i pozostaję z głębokim szacunkiem kreślę się Józef Wawer. Oświęcim Baraki wygn. Śląskich 22/3 22 r.
W. P.! Za nadesłany towar najserdeczniej dziękuję, z jakości materjału jestem najzupełniej zadowolony. Nowa Grobla, 18/3 1922 r.
Wszyscy nasi klijenci są zadowoleni, gdyż przy wykonaniu zamówień przykładamy wszelkie starania ku temu. Wobec czego prosimy zwracać się do naszej firmy z pełnem zaufaniem.

Kooperatywom i Kółkom Rolniczym dogodne warunki!



[Jedyny] najtańszy dom handlowy

IGNACY CYPRES

Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 3500, Budzik z przedwoj. werkiem mk. 4200, Skrzypce ze smyczkiem mk. 7500 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 10000, dwurzędówka mk. 15000. Trąby akordeonowe mk. 2000, 2500. Dyamenty do szkła mk. 2500, 3000. Brzytwy mk. 800, 1000, 1200. Maszynki do włosów mk. 2500, 3000. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 400. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 3500, 5000. — Przy zamówieniu połowę z góry, resztę za zaliczką. — Cennik illustrowany za nadesłaniem 70 marek przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

„DZIATWA POLSKA"

dwutygodnik illustrowany.

Pismo dla dzieci.

Wychodzi

1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ul. Kazimierza W. 95.
:—: Telefon Nr. 479. :—:

PIEGI i PRYSZCZE

usuwa radykalnie krem

„EROS"

Żądać w aptekach, drogerjach i perfumerjach.



ŚWIECE GLORIA

wszelkich gatunków i rodzajów.

BEZ KONKURENCJI!

Kraków, Sławkowska 11/I.
S. A.

KOŁDRY

Materace włósienne i powijacze dla niemowląt

puchowe na wełnie i wacie. Poduszki i pierze gęsie

poleca:

JEDYNA KATOLICKA PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

M. MATUSIEWICZ

- KRAKÓW, ULICA POSELSKA L. 20. -

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego